Numer świąteczny — 12 stron

Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nr 18 Kraków, dnia 1 kwietnia 1945 r. Rok II

LEOPOLD STAFF

POEZJE

Martwa pogoda

Uporczywie bezchmurna, niezmienna pogoda,
Nieludzko obojętna, okrutnie nieczuła,
Beznadziejna jak letarg, jak letejska woda,
Błękitną niemoc nieba martwotą zasnuła.

Śmiercią się rozpostarła w dali niezmierzoność,
Za widnokręgi, które w śnie znieruchomiały,
Jakby Bóg uszedł skrycie w inną nieskończoność
I opustoszył nagle na wieki świat cały.

Życie zabrała jego ucieczka pielgrzymia
I nawet ślad istnienia w przestworzu nie gości.
I rośnie, rośnie pustka dokoła olbrzymia,
Potężna, jak potrzeba jego obecności.

Czyż znużył się nędznemu stworzeniu być Bogiem
I wybrał nad nie niebyt i dolę nicestwa?
Jakżeby mógł dziedzinę swą rzucić odłogiem?
Bóg nie opuszcza nigdy swojego królestwa.

On rozszerza cierpliwie wciąż swoje granice
Aż po cel upragniony, po serce człowieka.
Jeszcze nie dostrzegają go jego źrenice.
Jakaż go żmudna droga, jakże długa czeka.

Zniszczenie pomnika Chopina

Wyrażał ciebie nie bronz, lecz powietrze
Drżące dźwiękami, co od marzeń letsze
Plotą się z sobą, jak aniołów ręce
W niebiańskich chórów harmonijne wieńce.
Choć cię wolnego już, jak nas, nie gniecie
Bezmiar podłości w ukochanym świecie,
Tyś znał na ducha swego wysokości
Stokrotnie sroższą męczarnię boskości
I skromny spiż twój taka kryła chwała,
Że godnie tykać go jedynie śmiała
Muzyką blasków swych Różanopalca.
Aż się targnęła dzika dłoń zuchwalca
Na twój majestat. Zbir, wściekłością ślepy,
Rozbił twą niemą postać na czerepy.
Rozkaz przedśmiertny obarczył mordercę:
— Jeżeli umrę, przebijcie mi serce,
Aby żywego mnie nie pogrzebano, —
Rzekłeś. I jesteś dzisiaj jedną raną.
Ostatnia wola twa się dokonała,
Bo twoim sercem jest twa ziemia cała,
Którą przebito wskroś. I jesteś żywy,
Niepogrzebany, w otchłani burzliwej
Chmur, gromów, grając — o bogom podobny! —
Nieszczęściu świata Wielki Marsz Żałobny.

U kresu

U kresu mojej podróży skończonej,
Zrzuciwszy z ramion sakwę niepotrzebną,
Legnę na ziemi i oprę, znużony,
Na dłoni głowę mą, jak księżyc srebrną.

I jak wędrowiec na ostatnim szczycie,
W minioną przeszłość zwrócony obliczem,
Obejmę myślą całe moje życie,
Aby zatęsknić za wszystkim i niczem.

Burzliwe niebo

Skłócone niebo kłębi burzliwe tumany
Chmur, jak szarpane wiatrem, piełgrzymie łachmany,
A wśród nich jeden czarny, jak brudna onuca,
Którą z kurzem obuwia pątniczego zrzuca
Wędrujący z bezkresu do bezkresu czasów,
Wśród strzępiących mu włosy z wichrami zapasów,
On, co cisnąwszy w wolność ziemię dłonią twardą,
Spojrzał na jej shańbienie z goryczą i wzgardą,
I twór swój sprzed eonów przekląwszy tysięcy,
Odchodzi w wieczność, aby nie powrócić więcej,
Z sierdzistym sękatego kostura stukotem,
Co odbrzmiewa w oddalach głuchym gniewu grzmotem.

Dwoistość

Nie puch łabędzi, mimoza,
Skrzydła motyla, liść róży, —
Lecz przerażenie i groza,
Co chwila piorun: bicz burzy.

Na niebie chmury hiobowe,
Ziemię zaraza pożera.
I strach uderzył mnie w głowę,
Jak Bóg niewidny Homera.

Świecie jęczący w chorobie
Rozboju, zdrady, oszustwa,
Jako ty, jestem też w sobie
Pełen szaleństwa i bóstwa.

Sypmy na głowę popioły,
W słonecznym kąpmy się winie.
Widzę na rynku anioły
I w tłumie mam swą pustynię.

Przeczucie skowronka

Wesoły szał ogarnia drzewa,
W przeczuciu, że skowronek bliski
I w jego braku sam wiatr śpiewa.
Gałęzie biorą się w uściski.

Chmury w miłosny krąg się plotą
I błękit spośród nich wyziera
I ukradkowe słońca złoto
Na chwilę błyśnie i umiera.

Ale wiatr robi już porządek
I wstrząsa liśćmi uwiędłemi,
Wskazując, gdzie wśród skib i grządek
Skowronek ma mieć gniazdko w ziemi.

Zatarty fresk

Ciekawość mnie i troska dręczy nieustanna:
Co robi owa śliczna, morelowa panna,
Która, przybrawszy postać boskiego anioła,
Wiatr lotu zachowała w krnąbrnych puklach czoła
I wznosząc wzrok zarazem i sarni i orli,
Z natchnionego nakazu Melozza da Forli,
W tunice miodopłynnej, w włosów aureoli,
Trącała struny smukłej jako jej dłoń wioli;
Aż swej własnej muzyki niebiańskimi tony
Porwana, w swe ojczyste uleciała strony,
By w mej pamięci barwą owocu trwać samą,
Jak na zatartym fresku: morelową plamą.

Churchill, Roosevelt i Stalin na Konferencji Krymskiej

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI .

Rzeczywistość

Naród przeżywa nieraz chwile, kiedy pragnienia jego są tak silne, że do wyrażenia ich język ojczysty nie ma dość fantazji i wynalazczości. Dzieje się wówczas, że historycy wysławiają się mową filozofów, a poeci wymową proroków.

Działo się tak wielokrotnie w okresie 150-letniej niewoli narodu polskiego, kiedy wolność równoznaczyła wiele odmiennych pojęć, które — po odzyskaniu niepodległości — otrzymały swoje własne, słowne odpowiedniki.

Tak działo się również w okresie pięcioletniej okupacji. Wówczas pragnienie było jedynym uczuciem ludzi nauki, sztuki i ulicy. Stopień jego temperatury rozstrzygał o przynależności pojedynczego człowieka do narodowego zespołu. Ono było wszystkim: miarą, materiałem i kształtem.

Od tego, czy pragnienie jest zdrowe, zależy zdrowie narodu, który go odczuwa. To, czy ono jest szlachetne, decyduje o wielkości literatury, która go wyraża.

Polska literatura XIX wieku jest przykładem i dowodem.

Bywa taka chwila, bo nie ma takich chwil wiele, kiedy rzeczywistość narodowego bytu jest tak oszałamiająca i przedstawia tak zawrotne perspektywy dnia jutrzejszego, że uczucia ludzkie łamią się bezradne wobec fenomenu, którego ich najbardziej w przyszłość wybiegająca wrażliwość nie mogła przewidzieć. Zmysły przyzwyczajone do wymiarów mniejszych nie reagują na to, co w skali zwielokrotnionej istnieje. Jest znana prawda akustyki, że ucho ludzkie słyszy dźwięki, odpowiadające określonej ilości drgań. Ilość drgań mniejsza od najniższej granicznej i większa od najwyższej przepada dla niewrażliwej na nie membrany ludzkiego ucha. Czyż można twierdzić, że tony, których ucho ludzkie nie odbiera, nie rozlegają się?

Podobnie jest z percypowaniem świata przez zmysły pozostałe. Zdarza się, że rzeczywistość nieprawdopodobna, niewyobrażalna staje się poza człowiekiem, dla którego jest przeznaczona, bo nie posiada on aparatury odpowiednio czułej do jej przyjęcia. Odbywa się wówczas najbardziej dziwne zjawisko, że ludzie nie widzą, nie słyszą i nie dotykają tego, co potęguje w ich oczach światło, w ich uszach — zdolność słyszenia, a rękom daje mięśnie ze stali.

Co sprawia, że wielu z tych, którzy te słowa czytają, nie rozumieją o co w nich chodzi? Co jest przyczyną, że oczekują sensacyjnej opowieści o dwóch takich, co ukradli słońce?

Znajdujemy się w takim zakamarku psychologicznym, że nie wystarczy, nie pomoże wypowiedzenie wręcz tego, co oczywiste. Tak się jakoś nieprawdopodobnie składa, że fakty muszą dowodzić swojego istnienia, że od rzeczywistości wymaga się argumentów za, tak jakby ona była wątpliwa. Przecież wystarczające powinno być postawienie daty. Nawet kropka jest zbyteczna.

Od stycznia kraju naszego przybywa więcej i szybciej niż dnia. Co chwila jakieś nowe miasto wschodzi z okupacyjnej nocy. Coraz nowi ludzie wracają do swoich imion, oczu, rąk i odczuwań. Coraz nowe serca biją w takt melodii Dąbrowskiego. Kielce, Radom, Łódź, Kraków, Katowice, Poznań... zdzierają maskujące je swastyki. Z każdym dniem jest nas więcej mówiących tą samą, polską mową. Już nawet doliczyć się nam jest trudno.

Dzieje się widocznie, słyszalnie i dotykalnie to, czego nadzieja utrzymywała nas przy nędznym, okupacyjnym życiu.

Co sprawia, że ci na nowo życiu powróceni ludzie zachowują apatyczny spokój, chodzą, patrzą, mówią jak pod narkozą? Uzewnętrzniają się tymi samymi formami co dawniej. Są zdrowi lub chorzy nie inaczej niż byli przed sześcioma miesiącami. Co jest przyczyną skrępowania ich entuzjazmu, ich wybuchów szalonej radości? Kto hamuje ich ręce, że zwisają wzdłuż ciała, miast chwytać za łopatę, kielnię lub pióro, by budować i opiewać wolność, tę wolność, której pierworodne uczucie już się nie powtórzy?

Do kraju naszego powracają od dawna będące poza jego granicami ziemie. Piastowskie ziemie Śląska i Opola. Znów, jak za czasów Chrobrego, Odra będzie podmywała stojące nad nią chaty i zalewała pola polskich rolników. A jeśli nie będzie zalewała, to tylko dlatego, że jest uregulowana. To już nie jest tylko nieprawdopodobne pragnienie, lecz bardziej niż nieprawdopodobna rzeczywistość. Tak jest. W Katowicach odbył się uroczysty akt przejęcia przez polską administrację **całego** Śląska. Odtąd na zawsze Śląsk został połączony z resztą kraju, stanowił jego integralną część, jego województwo. Stało się to, co nie stałoby się nigdy w innej konfiguracji politycznej. Bez konferencji pokojowej, bez targów z międzynarodowymi adwokatami i ich doradcami, bez ankiet amerykańskich tygodników. Stało się to, czego nawet oficjalnie pragnąć nie mogliśmy w konspiracji w obawie, by nasi przyjaciele na Zachodzie nie okrzyczeli nas za imperialistów i t. p. Hasło powrotu nad Odrę i Nissę Łużycką, to maksymalistyczne hasło nieprawdopodobieństwa politycznego straciło swoją hasłową użytkowość. Powrót się już odbył. Żołnierz polski strzeże Odry, granicy Rzeczypospolitej. Urzędnik polski po polsku sprawuje administrację w Opolu. Nie tylko. Administracja polska przejmuje cały pas ziemi na wschód od Odry. W Kołobrzegu, Szczecinie i Wrocławiu będzie powiewała flaga biało-czerwona. Odbywać się tam będzie trudna, skomplikowana i długa, wszystkimi rękami, praca repolonizacji ludności i intronizacji Polski.

Co sprawia, że w chwili, gdy odbywa się największy, najbardziej ważny akt państwowy w życiu Rzeczypospolitej, wielu ludzi zachowuje się, jakby im nic o tym nie było wiadomo? Nie popełniają zbiorowych szaleństw, pozostają normalni w sposób jakiś patologiczny, chorobliwy. Ci sami ludzie, których wzruszał nieudany zamach na Hitlera, nie doznają emocji z powodu udanego zamachu na konwencjonalizm Europy w poglądach na nasze słuszne prawa. Ci sami ludzie, co na wiadomość o obaleniu Mussoliniego, a potem o lądowaniu sprzymierzonych w północnej Francji, nie spali, nie jedli i na trzeźwo zataczali się idąc ulicami, ci sami ludzie wieść o największym od wieków sukcesie politycznym Polski przyjmują jak komunikat meteorologiczny. Jest w tym braku reakcji coś, co sprawia, że idąc ulicami Krakowa napotkanych przechodniów mijam z daleka, z nieufnością, obawiając się, by przysłowie francuskich nadrealistów nie miało pierwszego precedensu realizacyjnego. Bo może właśnie te „słonie są zaraźliwe". Może bakcyl, co toczy tych poszczególnych ludzi i całe tłumy, ich serca i umysły, posiada jakieś własności zarażania przez same gesty, ich gesty tylko. Chciałoby się do każdego napotkanego wołać: panie zdrowy, umrzyj! Może śmierć sprawiłaby to, czego życie nie umie. Co jest przyczyną?

Kraj nasz po długiej nieobecności wraca do Europy. Już nie będzie polskiej egzotyki dworków, nudnych i głupich jak gęsi szlachcianek i złotych młodzieniaszków. Gdy jakiś nowy książę Kentu przyjedzie do Łańcuta, to przyjmie go przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki. Odbywa się upragniony, od dawna oczekiwany proces urzeczywistnienia demokracji ziemi. Wieś polska będzie wsią, a nie folwarkiem. Życie gospodarcze kraju będzie unormowane od samych podstaw. Staje się zadość sprawiedliwości i ekonomii. Reforma rolna będąca w pełnym toku sprawi to, co wiele lat wcześniej sprawiła w Danii. Polska będzie krajem równych pól i sprawiedliwie rządzonych ludzi.

I znów narzucają się natrętne pytania. Dlaczego ludzie pozamykali oczy i uszy? Co sprawia, że są niemrawi, nie zdejmują czapek i rąk nie wyjmują z kieszeni? Co jest przyczyną największego, najbardziej nonsensowego kabotyństwa pod słońcem?

Okresy życia narodowego rządzone przez pragnienia nie mijają niezauważone dlatego, że z pragnień wybłyskuje siła i jak piorun razi noc otaczającą. Z pragnień tych powstaje nowe rzeczywiste życie, które rodzi nowych ludzi i nowy ich język.

Pragnienia takie już z daleka nadchodzące czasy widzą i oszczędzają je w ogniu swego słońca, bo są wielkie i ogniotrwałe. Wyrażają słuszność i męstwo.

Między okresem wielkich pragnień a okresem ich urzeczywistniania nie ma nieporo-

zumień. Ludzi, którzy pragnęli, lub ich synów, poruszy nawet próg wymarzonego domu.

Obserwującemu brak odpowiedniej reakcji wielu Polaków na ich dzień dzisiejszy, nasuwa się nieodparcie myśl, że go ogromnie, gorączkowo, ale źle pragnęli. Podczas okupacji przeklinali, przysięgali zemstę, płakali, lecz nie umieli pragnąć w sposób czysty, bezinteresowny. Nie wyszli poza; lecz lichy, mdły sentymentalizm spotęgowali do wymiaru doktryny. Stała się ona świętością nienaruszalną i nawet w wigilię święta narodowego nie można jej było odkurzyć. Wiadoma jest geneza i rola każdego sentymentalizmu. Powstaje w miejscach gdzie mózg zwapniał lub nie miał warunków normalnego funkcjonowania. Skazuje ludzi na bezmyślność i bierność. Zabija wszelką inicjatywę umysłową. W życiu osobistym poszczególnego człowieka jest przyczyną jego nieproduktywności, a w życiu narodowym — klęski. Ślady jego znajdujemy wszędzie: od piosenki i wierszyka od ucha do ucha do doktryny politycznej; wszędzie będąc wydzieliną ludzkiej słabości, rozkłada mózg, wolę i serce. Schematem, brakiem perspektyw i zacofaniem. A Polacy wolę i mózg zawierzyli i oddali do dyspozycji kierownictwa, które, jak to się dobitnie okazało, nie wiedziało, co z darami począć. Dla siebie pozostawili tylko funkcję uderzania sercami, które istotnie biły wiernie i wytrwale, lecz tylko biły. Daleki jestem od zamysłu pisania pamfletu, w którąkolwiek stronę wymierzonego. W chwili obecnej jest mało komu przydatny ten gatunek, a dzisiaj tylko celowość obowiązuje. Lecz trudno nie powiedzieć tego, co chociaż bolesne, musi być koniecznie wiadome. Pozytywnych pragnień, chociażby średniego formatu, naród polski, jako całość, podczas okupacji nie stworzył. Ograniczył się do formułowania życzeń negatywnych. Cele zastąpiła taktyka, a ta — jak nie od dziś dopiero wiadomo — jest sprawą personaliów. Dla polskiego sentymentalizmu, przy braku świadomości celów, co mogło być bardziej pociągające, jak umieszczenie kredytu zaufania i przedmiotu westchnień w dalekim mieście nad Tamizą? Londyn. Padło to, dla wielu zastępujące inne, większe słowo, za które — o czym już niemieckie plakaty egzekucyjne mówiły — tysiące rodzin straciło ojców, mężów, synów i córki pod ścianą i w koncentracyjnych obozach. Za które dzisiaj jeszcze bezpośrednio, lub częściej pośrednio, wielu Polaków cierpi na brak odczuwania rzeczywistości i wielkości Polski. Za to jedno słowo... Tak wiele.

Dzisiaj, nie dlatego, że jutro będzie za późno, lecz dlatego dzisiaj, że szkoda każdego ubiegłego dnia daremnie, zastanówcie się wszyscy, albo lepiej: zastanówmy się wszyscy nad tym, co nas pomniejsza i co nam proporcję zdarzeń fałszuje. Faktów już nie odwrócimy. To co się stało, te śmierci i zgliszcza niepotrzebne należą do historii tylko. Ale możemy zdziałać co innego: urodzić nowych ludzi i zbudować nowe miasta. To w tej i w następnej chwili ważniejsze. Ale abyśmy to mogli uczynić wszyscy, zdobądźmy się na konieczny wysiłek i zrewidujmy nasz stosunek do sprawy narodowej. Ujrzyjmy błędy tam, gdzie są, a nie tam, gdzie chcemy je widzieć. Odrzućmy resztki ckliwego i uniemożliwiającego nam jasność spojrzenia sentymentalizmu. Odwróćmy się od fetyszów, którym sami inną wartość przypisaliśmy. Tym bardziej, że tu nie chodzi o kwestię zaufania. Kredytów skądkolwiek odebranych nowa rzeczywistość nie potrzebuje. Posiada własny i dostatecznie wielki kapitał. Bo od naszego stosunku do rzeczywistości zależy nie jej przyszłość, lecz przede wszystkim nasza.

Ludzie są różni, mają różne umysły, różne wyobraźnie i w różny sposób się swoimi zmysłami posługują. Dla jednych świat jest za mały, podczas gdy inni na jego małym skrawku błądzą. Zależy to od zdrowia albo choroby ich psychiki. Niczego innego jak tylko zdrowia psychiki — nowa rzeczywistość dzisiaj nie potrzebuje. A nic tak psychiki nie paczy, nic tak nie odbiera jej zdolności bezpośredniego odczuwania jak **sentymentalizm.**

Cóż było powodem historycznej kariery zwycięstwa pod Wiedniem i bitwy pod Sommo-Sierrą? Co legło u podstaw politycznej doktryny „od morza do morza"? Ten sam sentymentalizm, który sprawia dzisiejszą wielu apatyczność i niewrażliwość na promienie słońca.

Polska racja stanu, która aktualnie tę chorobę narodową w wymiarach państwowych zlikwidowała, domaga się, by i Polacy również od antysentymentalizmu rozpoczęli odbudowę swojej psychiki. To jest konieczne. To i tak prędzej lub później się stanie. Jest bardziej celowe, by się stało prędzej.

Tak, jak okresy wielkich pragnień miały swoich filozofów i proroków, tak samo okres wielkiej rzeczywistości powinien mieć swoich poetów, powieściopisarzy i publicystów.

Nazywanie spraw, które się stają, jest funkcją nie mniej ważną od ich planowania i powoływania do życia. Nazywanie daje sens kulturalny rzeczywistości oraz wytycza kierunek jej ewolucji. Rozumieją to ci, którzy planują i tworzą. Powinni to również pojąć ludzie literatury i wziąć na siebie obowiązki, jakie im z kolei przypadają.

Literatura polska w dniu dzisiejszym ma przed sobą cele jasno i śmiało wytknięte. Dać obraz nowego życia w nowych, powiększonych ramach. Natchnąć tłumy ludzkie — a baza czytelnicza będzie się z każdym następnym dniem poszerzać — entuzjazmem i wolą pracy. Wyrobić przekonanie powszechne o wartości życia, jakie demokracja zabezpiecza. To są tylko schematy moralne. Nowa rzeczywistość niezależności literatury w niczym nie skrępuje, gdyż wszystkie formy wyrazu w bogatym świecie rzeczywistości znajdą swoje odpowiedniki. Tym bardziej, iż wiadomo jest powszechnie, że literatura niezależność swoją do walki o demokrację wyzyskiwała. Dziś użyje jej do utrwalenia ustroju wywalczonego.

Jest tylko jedna sprawa do uświadomienia niezbędna. Pisarze polscy muszą sami pojąć sens przemian dokonywanych. Muszą zapalić się od wewnętrznego przekonania o ich słuszności tak, jak od niecierpliwości zdobywców pali się ziemia pod ich stopami. A w czasie wielkich pożarów idei nie jest to trudne.

Literatura musi być tak zdrowa, jak rzeczywistość, którą ona będzie nazywać. Są wszelkie podstawy do nadziei, że ona równie wielką być może.

A przede wszystkim na kartach poematów, powieści i w artykułach publicystycznych powinna trwać walka z sentymentalizmem narodowym w jego wszelkich, zawsze zawierających tendencje rozkładowe, przejawach.

Literatura polska XX wieku, który się właśnie w Polsce rozpoczyna, będzie przykładem i dowodem.

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA*)

— Bo pan nie mówi na serio.

— Historia w ogóle nie jest rzeczą na serio! — nagle zaperzył się Dzianwa. — Należy wątpić, czy w ogóle jest nauką. Proszę pana, definicja etymologiczna historii opiewa z grecka: opowiadanie, badanie — więc to oczywiście nie obowiązuje jej do niczego. Jako definicja semantyczna w słownikach figuruje, że to jest opis rzeczy godnych pamięci. A kto, pytam się pana, ma decydować, co jest godne pamięci? I według jakich sprawdzianów? Poprzestajemy więc na definicji aksjomatycznej, wyrażając ją, że tak powiem, w splocie: gdy jest mowa o wojnach i pokojach, to jest historia. Gdy jest mowa o królach i ich kochankach, to jest historia. Gdy jest mowa o morderstwach i zbrodniach, to zawsze jest historia...

Katarzyna była zawiedziona. Cokolwiek mówili, mówili o tym właśnie, czego nie lubiła. Dzianwa zapomniał o niej zupełnie.

— Owszem, ja się zgadzam, — mówił teraz do Cienckiego miękko i polubownie. — Przy Batorym, przy Chrobrym bywała wspaniała i rozległa i kwitnąca, to prawda. Tylko że się zaraz znalazł ktoś z boku, kto ją złupił, pomniejszył i sponiewierał, by rozpostrzeć szerzej swoje znów granice. Musiałbym więc po kolei raz się chlubić i krzepić, po tym upadać na duchu i zaraz znowu krzepić się na nowo... A i to jeszcze nie wiem, czy mam wystarczające po temu tytuły, dostateczne uprawnienia. A któż mi zaręczy, że nie jestem z pochodzenia na przykład Łużyczaninem? Że nie dałem się wynarodowić bardziej imperialistycznym Polanom? Jaką mam pewność, że wbrew swemu ówczesnemu pogańskiemu przekonaniu nie przyjąłem chrztu pod przymusem, ulegając dyplomatycznym kombinacjom Mieczysława I-go. Czy wypada mi wobec tego czuć się podniesionym na duchu z powodu zwycięstw Bolesława Śmiałego, tak zresztą dziś nieaktualnych. Na pewno nie. Bo proszę pana, przedmiot historii jest płynny, jej elementy mają charakter miejscowy, przechodni i sporny. Ja ze swej strony pozwoliłbym sobie zaproponować definicję historii, że tak powiem, arbitralną. Dla mnie przedmiotem historii jest po prostu przesuwanie się siatki granic politycznych w tę i ową stronę po cierpliwej powierzchni globu. I ta niedobra zabawa kosztuje ludność — no, co tu mówić, wiadomo ile kosztuje.

— Żałuję, że tu przyszłam, — powiedziała Katarzyna do męża, wydymając obrażone usta.

Zbliżyła się wraz z nim do rodziców. Nagle Oxeński przystanął i złożył ceremonialny ukłon przechodzącej w pewnym oddaleniu kobiecie.

— Kto to jest? — ostro zapytała Katarzyna. — Kto to jest? — powtórzyła, gdy milczał.

— Nigdybym nie pomyślał, że ją tu dziś zobaczę, — odrzekł wreszcie. — To Olga...

Szarpnęła się, jak ukąszona.

— Och! — westchnęła. W jej zaczerwienionej nagle twarzy, w miotających ognie oczach była zawzięta, nieupamiętana złość.

— A dajcież mi pokój! — śmiał się Ciencki do ucha Wysokolskiego. — To ci dopiero piła ten stary. To typ! Czy on nie ma hyzia?

— Zawsze był taki, — pobłażliwie rzekł Wysokolski. — Ale to dobry człowiek. Możesz mi wierzyć.

Z przymkniętymi powiekami, powoli, ściszonym głosem, powiedział Oxeński do żony:

— Więc jeżeli chcesz, to wracajmy.

— Dobrze, — odpowiedziała spokojnie. — Mam już dosyć. Ale gdzie jest Dziunio?

— Był tu w tej chwili, — skwapliwie rzekł Baraz. I podjął się go odszukać.

Edmund odszedł był niepostrzeżenie, gdy zobaczył swą matkę jeszcze raz tego wieczoru. Na ten raz była sama. Stała w mniejszej sali przed lustrem i jak mówił Edmund, „uzupełniała swą doskonałość". Podszedł do niej szybko, ujrzała go w zwierciadle i nie odrywając oczu od jego odbicia, spytała poza siebie:

— No co? Jesteś znowu?

Chwilę milczał, usiłując się opanować. I ona czekała także, przesuwając pomadką po wargach.

Wreszcie drgającym głosem zaczął mówić:

— Byłem przy tobie tuż i serce nic ci nie powiedziało.

*) Ciąg dalszy. Por. nr 13, 14, 15, 16 i 17 „Odrodzenia".

— Nie rozumiem.

— Przecież to ja w hallu podniosłem ci rękawiczkę.

Lekceważąco odparła:

— Nie wiedziałam.

— Nie wiedziałaś, — powtórzył z uśmiechem. I patrząc na nią, jak ona, w lustro, dodał: — Głos krwi słabo w tobie przemawia.

Parsknęła śmiechem i odwróciła się do niego.

— To chciałeś, żebym witała się też z generałową-babką i z tym Jaspisem, którym robiłeś honory... Jesteś bardzo wymagający.

— Ach, więc jednak nie widziałaś. Jakaś ty zła... a ja myślałem, o Boże...

— Jesteś z nimi. I mieszkasz razem?

— Mieszkam z ojcem.

— Właśnie, mieszkasz z ojcem. Twoja macocha dobra jest dla ciebie?

Nie odpowiedział. Milczała chwilę, jeszcze na coś czekając.

Po chwili spytał niepewnie:

— Czy wolno cię odwiedzić? Bo nie chciałbym być natrętny.

Chmurnie odpowiedziała: — Nie.

— Jakto! — zdumiał się. Naprawdę nie chcesz, żebym przyszedł?

— Więc widzisz, jednak jesteś natrętny.

Popatrzył na nią z nienawiścią w oczach. Był upokorzony, był odepchnięty. Ktoby pomyślał!

Odszedł. Stanął we drzwiach i widział stamtąd osłupiały, że wróciła do swego towarzystwa i wraz z tymi ludźmi szła ku wyjściu. „Idą widocznie jeszcze gdzieś tańczyć", pomyślał.

Patrzył, jak schodziła po długich, prostych schodach, a obok niej stąpał jej tancerz — „człowiek wspaniały". Z góry widać było jego małą głowę, okrytą jasnymi włosami, niby gładką, lśniącą czapeczką.

— Ach, tu jesteś, — powiedział do niego z bliska Baraz. — Pani Katarzyna już chce wracać.

— Zaraz idę, — odrzekł Edmund, — tylko powiedz mi, nie wiesz czasem, kto to może być, ten długi typ, tam na schodach? Mam wrażenie, że go skądś znam. Ten, co prowadzi damę w białej sukni.

— Czy ona nie jest?...

— Nie wiem, — szybko przerwał Edmund i odwrócił się.

— Ten wysoki? Owszem, wiem. To przecież jest Rozrażewski.

— Aha, — mruknął Edmund.

— Ciekawe. Już są i tu. Tutaj jednocześnie i na ulicy...

Edmund szedł za Barazem, dławiąc się nienawiścią. Zrozumiał, że jest przez niego odgadnięty.

ROZDZIAŁ VI

— Jak ta Katarzyna się męczy, — powiedziała Agata do męża, gdy Oxeńscy z Edmundem odjechali. — Nigdy się nie bawi, nigdy nie jest zadowolona.

Mówiła to wyraźnie na przekór sobie. Jakgdyby własną troskę, własną winę usiłowała za wszelką cenę z nim podzielić. Jakgdyby aż dotąd znieść tego nie mogła, że on nie wie. Poruszała tę ranę, jątrzyła ją sama od wielu lat, udręczona jego niezachwianą ufnością, zamiast znajdować w niej pociechę.

— Dlaczego się dziwisz, zawsze była nietowarzyska, — wyjaśnił to Wysokolski. — Po tobie ma to usposobienie, że najswobodniej czuje się w swoim kółku. I dla Antka lepiej, że wcześniej się położy, — dodał jeszcze.

Agata umilkła. Tak, nie można go było dojąć zębem, nie było na niego sposobu...

Zostali znowu sami z Cienckim... Aramowicz i Uświacki oddawna znikli w pierwszej sali. Baraz miał sobie coś ważnego do powiedzenia z Dzianwą. Wysokolski rozglądał się jeszcze, szukając, kogoby zjednać i oczarować. Pozwoliła mu odejść z pułkownikiem i usiadła sama na wolnej, białej ławeczce pod lustrzaną ścianą.

Uczuła w sobie lęk, jak zwykle, gdy była zmęczona. Gwar ludzki i nadmiar światła dawały jej znów to niepokojące wrażenie rzeczywistości niezupełnej, pozostawiającej jakąś wątpliwość, jakiś brak.

Stanęły jej w pamięci słowa Oxeńskiego, gdy powiedział, że zwalcza wciąż samego dawnego siebie. „Ona ma rację, ja dziś zamykam do więzienia tych samych ludzi, których dawniej broniłem", mówił innym, nie swoim głosem, głosem zdyszanym, jakim mówią starcy.

Ciągle była tutaj świadkiem tej rzeczy. To prawda, że wszyscy naokoło zwalczali to, czym byli dawniej. Może nie zmienili się tak bardzo, może się tylko łudzą. Może już wtedy byli tacy, tylko myśleli o sobie inaczej — teraz dopiero zaskoczeni samymi sobą, jak Oxeński. Może dopiero teraz ujrzeli siebie, jakimi byli zawsze. Ale nie wszyscy męczą się tak, jak on.

Niektórym, jak Jaś Żołna, przyszło to bez większego trudu. Ten jest w porządku, jak Ciencki, ten ma czyste sumienie. We własnym mniemaniu został na tym samym miejscu — tylko świat okręcił się koło niego. I tak, razem z tym swoim miejscem, nie uczyniwszy ze swej strony najmniejszego w tym kierunku gestu, znalazł się nagle gdzieindziej. Co wtedy było młodzieńczym porywem, niezgodą i walką — to samo teraz stało się i zgodą, i lenistwem, i przywilejem.

Pomyślała o własnym mężu. Nie przeceniał swych zasług dawniejszych, nie miał nigdy wygórowanych ambicji, zachował przez życie ten sam prosty i skromny, serdeczny i dobroduszny sposób bycia. „A tak, w młodości trzymały się mnie różne takie psie figle", — tłomaczył jowialnie, gdy podziwiano jego znane czyny i nazywano go bohaterem.

Z prześladowanego konspiratora w ciągu paru dni przewrotu przedzierzgnął się niespostrzeżenie w dygnitarza, siedzącego za biurkiem w olbrzymim gabinecie, strzeżonym przez adjutantów i sekretarza — i nie uległ zawrotowi głowy. Tak samo dziś bez szemrania pracował na skromnym swym urzędzie, nie usiłując przeniknąć, czemu ma przypisać tę zmianę — czy innemu kursowi, czy osobistej niełasce. Zapewniał, że rad jest, mogąc nareszcie znowu pracować w swoim zawodzie, od którego tak długo trzymały go w oddaleniu inne zadania. I może istotnie tak myślał. Zawsze umiejąc dość łatwo wydawać pieniądze, nie umiał ich zdobywać ani mnożyć. Nie zrobił majątku, jak inni, był czysty, był taki sam, jak w młodości.

Mogła się mylić, krzepiąc się tym złudzeniem, jak mnóstwo kobiet, które wobec swych najbliższych używają innych miar oceny. Jednak starała się być uważna i baczna, starała się pod tym względem przynajmniej być sprawiedliwa. Ale nie o tym chciała myśleć. Nie o tej wieloletniej, ciężkiej miłości, całej w zaschniętych ranach. Ten wieczór poruszył w niej inne warstwy uczuć wygasłych. Opłynęła ją szeroka fala cudzego, przyśpieszonego, zgęszczonego życia, które nie całe należało do jawy. Jakby ten raut był olbrzymią orkiestrą, grającą w uporczywych nawrotach, wciąż innymi głosami, ten sam natrętny motyw przywidzenia, motyw prześladujących ją widm.

Był winien rzeczywiście „na wszystkie strony" ten człowiek — stary, udręczony swoją zmorą, kaszląc zasłaniający sobie usta dwoma palcami. Był winien wobec Wysokolskiego, wobec Kasi, wobec niej. Ale i to było prawdą. Jakże inne są rzeczy od tego, jak wyglądają! Bo można było zwyczajnie powiedzieć, że Agata kochała się kiedyś w późniejszym mężu własnej córki, że ostatecznie dla niej została przez niego porzucona. Ale nie było tak, jak wyglądało, było zupełnie inaczej. Wszystko jest inne, wszystko jest inne.

Nic między nimi nie było, jak się mówi, tę jedną sprawę mając na myśli. A przecież jakie niezapomniane, cudowne wynajdywali dla siebie słowa! I jakie zamieniali pocałunki! Jakie wiązało ich porozumienie! To przecież za jego sprawą uwierzyła, że największym urokiem świata jest urok drugiego człowieka.

Dotąd nie mogła pomyśleć bez męki o czasie straszliwym, gdy „młodzi" odeszli z domu i gdy tęskniła za obojgiem jak szalona, nie wiedząc, czy chodzi jej o kochanka, czy o córkę.

Zawrzało w niej wszystko dawną niewygasłą urazą do Wysokolskiego, że pozwolił, do Oxeńskiego, że uległ, do Kasi, że była taka piękna. Cóż to za splot diabelski, co za piekło!

Och, nie troska macierzyńska wiodła ją w to udręczenie. I nie ona pozwoliła jej pierwszej przeniknąć, co się święci, gdy buntowała przeciw Oxeńskiemu swego męża, który zajadły w pracy, żyjący życiem odrodzonego państwa, darzył przyjaciela dziecinnym zaufaniem. To była zazdrość kobiety o kochanka, który dopiero w obliczu straty nabierał straszliwej ceny. Nie jednej Kasi gotowa byłaby wyrzec się dla niego, ale bez namysłu zostawiłaby męża, dom i wszystkie dzieci — kiedy już było za późno.

Przecież odmawiając mu siebie przez ciąg lat i wciąż zarazem mając go przy sobie, to ona, nie nieopatrzność Wysokolskiego, ona sama pchała go w ramiona rozkochanej pierwszą miłością dziewczyny. To ona, nie Oxeński, była winna. I tylko, miotając się w rozpaczy, oskarżała innych. Gdy w Agacie znajdował jedynie chłód zachwytu, że jest aż tak kochana, Kasia zagarniała go w kołowrót swej namiętności nieugaszonej, swojej chmurnej, zapamiętałej miłości. Nie on pierwszy jej szukał, tego nie mogła mu zarzucić. To Kasia, jeszcze jako dziewczynka, wielbiła go, wodziła za nim posępnymi oczkami, niby mała czarownica urzekała go swoją męką miłosną. Już wtedy nazywał ją Pumą, gdy gniewała się i złościła, gdy bez przyczyny obrażona długo płakała. Był zawsze z nimi, zawsze u nich — ulubieniec męża, wielbiciel żony, wreszcie kochanek córki — zaiste, w całym znaczeniu tego słowa przyjaciel domu.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

MIECZYSŁAW JASTRUN

Czytanie Homera

Dopiero dziś po próbach najcięższych, tak ciężkich,
Jakbym po śmierci wracał do domu młodości,
Rozumiem was i kocham: gwałtowni i prości
I łzy lejący łatwo, pomimo lat męskich.

Wielu z nas tak jak oni cierpiało, pragnęło
Zemsty, a w opuszczeniu wielkim dłoni bratniej —
I każde pożegnanie było nam ostatnie.
Silny Achilles płakał nad Penthesileją.

Wróg był bardziej okrutny niż Grecy Homera,
Lecz ten sam płomień świecił nam — obrońcom Troi:
Ginie miasto ojczyste i człowiek umiera,
Bohater także blednie i śmierci się boi.

Inaczej dziś będziecie czytali „Iliadę",
Młodzi chłopcy warszawscy, Trojanie waleczni,
Wy, którzy zwyciężaliście śmierć i zagładę,
Aby odnaleźć serce swoje, jak wiersz wieczny.

1945 r.

Na rodzinnych polach

Przy szosie aut rozbitych, zgruchotanych czołgów,
Skręconych rur żelaza, w słońcu i w kurzawie,
Żołnierze w barwach ziemi, a jak fale Wołgi
Powolni, w zagajnikach gotowali strawę.

Mijało lato. W jesień odjeżdżały malwy,
Spóźnione posiwiały liście na topolach.
Lecz jaśniej od obłoków promieniały salwy,
Granatniki turkotem zajeżdżały pola.

Ojczyzny zmartwychwstałej oddech, radość, siłę
Usłyszeliśmy w głosach żołnierskich — gdy z piwnic
Wyszliśmy w pola, późnym błękitem opite,
Dogasające zwolna pośród barw oliwnych.

O pola, ugodzone grobami świeżemi,
Wam ocalone serce oddaję na wieki,
Gdy różom września więdną pobladłe powieki,
W broczącej zardzewiałym żelazem jesieni.

1944 r.

Pomnik

Trudna jest prawda uczuć, ludzkich rzeczy.
Tracą ciężar zanurzone w mowie,
Ale także w milczeniu jak łodzie bez steru
Toną, cień je okrutny przenika.

Ty, godniejsza siły niż królowie,
Jaśniejsza od blasków miecza,
Nie będziesz miała pomnika.
Nie stawia się pomników charakterom.

I smutno mi, gdy myślę: zostawię po Tobie
Zapomnienie: ten pomnik najwyższy z powietrza.

1943 r.

PAWEŁ HERTZ

Do przyjaciół Moskali

Na progu dnia u skraju legend,
jak kodeks doskonałych praw,
szeleścił stronicami Hegel
i pług rozcinał zieleń traw.

Do porzuconej niegdyś księgi
wracałem, zgiąwszy twardy kark,
spokojnym głosem uczył Engels
i dowód dawał gniewny Marks.

I tak, zaczęta pierwszym faktem
wyrosła we mnie cudza pieśń,
i nie na mojej ziemi traktor
motorem budził obcą wieś.

Ja zapamiętam jesień, Smolnyj,
i trudne szczęście, traktor, was.
Może naprawdę kiedyś wolny
zapalę najjaśniejszą z gwiazd.

* * *

Pamiętam cię. Za tobą szedł
przyjaciel szkolnych lat, Horacjo,
wlokąc jak tren, angielski pled,
tak cię widziałem, demokracjo!

Rozkwitła na wolności cegłach,
leniwie patrząc spoza szlor,
z taryfą w ręku wjazdu strzegłaś,
gdy rejs nas wiódł w newyorski port.

Ty zamieniałaś w sercu Francji
bankierskie złoto w czerwień krwi,
bogini smutnej tolerancji
spokoju, w którym słabość tkwi.

Umarłą w warstwach wykopalisk
odnajdzie tego, co strzegł,
by się prawdziwym ogniem palił
zgubiony dziewiętnasty wiek.

Okaleczonej da anatom
wyniosły gest, prawdziwy kształt,
już dziś nam trzeba płacić za to
salwami kul i ogniem dział.

Lecz zapamiętaj ją nie po to,
by w książkach suszyć ją jak liść,
lecz za tankami, za piechotą,
aby jak młodość mogła iść.

TADEUSZ BREZA

Próby na nic

W kilka dni po wybuchu powstania przeczytaliśmy w „Biuletynie" z Jerzym Zawieyskim, do którego schroniłem się z ulicy, że artyści proszeni są o zgłaszanie się do obywatela Tadka, bo będą organizowane dla wojska świetlice. Znajdowaliśmy się wewnątrz Mokotowa, wielkiej, osobnej, prostokątnej twierdzy; na jej obwodzie proces walk wybuchał raz po raz, to tu, to tam, zwłaszcza nocą w niektórych punktach stawał się zapalny i mocował się do rana. Przed naszymi oknami przesuwały się wtedy postacie z noszami, na noszach ranni. Dyżurowałem nieraz i widziałem sylwetki przechodzących, zawsze takie same, schylone, z rękami obwisłymi od ciężaru, najpierw ciemne, z godziny na godzinę coraz bardziej wyraziste i ostre w miarę świtu, jak odbitka fotograficzna w miarę wywoływania. Za obrębem tych brzegów, na których toczyły się walki, wznosiły się olbrzymie pożary, przerażające zasięgiem, choć jeszcze nikomu nie przychodziło na myśl, że to całopalenie miasta. Ogień podkładano może wcześniej, ale dopiero na wieczór tak się rozjadał, że stawał się ogromną, niską, pomarańczową chmurą. Niewiadomo było co się pali, czy to pobliskie ulice, czy aż na Pradze. Póki trochę nie przygasł, wielu ludzi w naszym domu wstawało do okien, bo tak mocnego doznawało się ucisku i żalu, że sen nachodził nas dopiero wówczas, kiedy można się było upewnić, że ogień malał. I tak było aż do następnej nocy.

Podczas dnia działo się u nas niewiele. W basenie przeciwlotniczym na Odyńca kąpały się chłopaki. A część parku Dreszera wykrojono pod cmentarz wojskowy, kiedy ten przed Elżbietankami się zapełnił. W dniu kiedyśmy się zebrali, żeby pójść do obywatela Tadka, objęliśmy jednym rzutem oka za rogiem ulicy, bliżej basen i grupę chłopców w majteczkach, a niedaleko za nią w odległości, jak z jednej strony ulicy na drugą, trumnę na ziemi, koło niej trochę przyjaciół i kwiatów. Czekano tam na kogoś. Na księdza; który wpadł i od razu — w modlitwy! Nie oglądając się potrząsnął ręką wyciągniętą za siebie. Wtedy dopiero chłopcy ucichli, a nawet dwu wyszło z wody i uklękło na trawie.

Jeden to Piotruś z naszego domu. Pomiędzy nim a Zawieyskim było jakieś powinowactwo pedagogiczne. Zdaje się, że chodził do szkoły powszechnej, którą kierował przyjaciel Jerzego. „Toś ty tu, a w domu pewnie się o ciebie boją". Piotruś, Jaś i Mańcia, jakżeż tych troje nas denerwowało! Jednym ciągiem, ziemię aż skręcało od ich tupotu i brykania, podłoga stawała się wprost ruchoma, cały czas któreś popiskiwało. Po kilka razy na dzień dwójka pędem wpadała do matki w udanym strachu przed strzelaniną na ulicy czy samolotem, skarżąc na trzecie: „A Piotruś się nie chce wrócić". Teraz z kolei Zawieyski namawia Piotrusia do powrotu. „Nie zdążysz do domu jak zaczną strzelać". Piotruś nurkuje. Tak się będzie krył przed kulami, a na razie to schowek, żeby go przestać nudzić. „Ci Anglicy przed oblężeniem wywieźli wszystkie dzieci z Gibraltaru, bo by inaczej powariowali!" — mówię.

Idziemy pasemkiem drogi między rogiem ulicy a rowem przeciwczołgowym. Tu trzeba podać do kogo to i po co, bo za tym rowem zaczyna się właściwy obóz. Mały kwadrat w wielkim prostokącie Mokotowa. Komu wola, niech wejdzie na balkon któregokolwiekbądź z domów wokół, a zobaczy co się dzieje we wnętrzu. Oddziałki ćwiczą na wolnym powietrzu, ruch kilku zdobycznych samochodów, jakieś wielkie przenosiny masy łóżek pewnie pod szpital. Więc ludzie patrzą na to z góry, serce im rośnie, a nad tym wszystkim bezczynny, nieustanny, wysoko zawieszony niemiecki samolot. Za nami, po ścieżce między domem i rowem podąża staruszka, która niesie kawał deski, ale wartownik jej nie puszcza. Nie umie wytłumaczyć po co jej koniecznie trzeba do środka. Każą jej iść dookoła, kiedy na przełaj obozem bliżej. „Nie można" — wartownik krzyczy, bo jest trochę głucha. „Dlaczego nie, ja przecie tak zawsze. Dlaczego?" „B-o w-o-j-n-a w-y-b-u-c-h-ł-a!"

Ale w samym środku Mokotowa mało wojny. Tyle, co czołg raz, albo jeszcze drugi raz pod wieczór, gdzieś od pola, pod osłoną domów, które są po niemieckiej stronie, zajedzie, żeby wykuć po dziurze w wielkim bloku domów na Odyńca, gdzie mieści się sztab. Teraz jest cicho. Ludzi pełno w ogródkach, stoją w bramach, dużo kwiatów, w oknach, na rabatach, po gazonikach. Śliczne uliczki Mokotowa zawsze z towarzyszeniem drzew odprowadzają nas na miejsce. Wspaniała willa, szerokie schody na początku pęczniejące od cementowych kul, drzwi dębowe, solidne. Dyrektorski hall. Przy krągłym stoliku w rogu grupa osób. Wielu dobrych znajomych. To właśnie obrady. „Dziś wieczorem będzie świetlica. Wiecie, humor — powiada obywatel Tadek. — Ale oprócz tego trzeba teatr. I żeby było, wiecie, coś pięknego!".

Ktoś z już tu zasiedziałych wstaje i z miną, że czeka nas niespodzianka zaprasza wesołym, zamaszystym ruchem ręki. Przeciskamy się korytarzykiem. Aż się dopiero otwiera sala! „Tu się będzie grać, ideał, co?". Paradny, jadalny pokój, ale olbrzym, w końcu wybrzusza się w ogród. „Tu scena oczywiście". „A tu się postawi biust Napoleona". „Jakto?" — musiałem coś przegapić. I wtedy się dowiaduję, że „cudowna byłaby Warszawianka". „Leć nasz orle w górnym pędzie. Sławie, Polsce, Światu służ. Kto przeżyje, wolnym będzie. Kto umiera wolnym już"! Z wielkimi oczami, młoda, piękna dziewczyna niskim, miłym głosem śpiewa. Ze szklanej przybudówki widać za ogrodem przestrzeń, przez całe pole Mokotowskie, hen! „Tam Okęcie?" — pytam. Pokazuję palcem w punkt, gdzie akurat dwa dymki pierzchają z ziemi. „Nie, lotnisko to będzie trochę na prawo". „A fort Mokotowski"? „A to proszę pana tu, to znowu przez to okno, tu go widać". „Cóż sala!" młody, sympatyczny aktor mówi to i trzy palce złożone przykłada do ust jak do pocałunku. Oglądam się po ścianach. Są prawie puste. Tu się musiało roić od obrazów, makat, półeczek z porcelaną! Widać to po gwoździach. „Pan dyrektor kazał wszystko znieść do piwnicy" powiada, zdaje się, że to będzie gosposia, której spojrzenie poszło za moim wzrokiem. „Stąd jesteśmy takie odkryte!" Nikt jej nie słucha. „Głupstwo — woła Jerzy Śliwiński, przyszły reżyser — przyniesie się z powrotem co trzeba. Ale będziemy mieli rekwizyty!" — rozaniela się. Znowu jakiś tumult w drzwiach wejściowych. „Czy to do mnie?". „Nie, to do obywatela Sławka". „Słuchaj, Sławek, bo tu ci rannych dają". Jesteśmy w hallu. Z otwartych drzwi na lewo bucha zapachem jakiegoś lekarstwa. „Pokoje po lewej stronie to szpital". Rozstępujemy się. Niosą młodą dziewczynę, lekko zwróconą w bok, przykrytą pledem, trochę bladą, patrzy w górę, pociąga papierosa. Jest bardzo zamyślona. Aż dziwnie. Nigdy bym tego nie przypuszczał o rannych. „No, to do jutra" — mówimy sobie. „Tylko punktualnie!".

Na dworze kurz. Spod nóg, spod kół wzlatuje utarty na puder pył. Z ogródków zeschłych z gorąca, przez które teraz przechodzi się we wszystkich kierunkach połączeniami porobionymi w płotach i kratach, jak kto chce. W powietrzu unosi się swąd, zasila go na cały dzień każdy wieczór. Nawykamy do niego, jak do podgorączkowego stanu u osoby bliskiej. Aby tylko nie skoczył o parę kresek! Ta woń, to pożar, który do nas dochodzi tak w abstrakcie.

Ucieszyliśmy się nazajutrz, bo reżyser powiedział: „Wiecie, pyszna nowina. Węgrzyn będzie Chłopickim, zgodził się". I przyszedł. Z włosem siwym aż zielonym. Wychudzony, w spodenkach pepitkowych jak z Fredry. Z głową tak charakterystycznie pochyloną zawsze w bok. Nie! Chłopickiego nie grał. Wielka wspaniała rola, na którą miał zawsze chęć. „Trudna?". „Ba!". „Na kiedy się to wszystko uda przygotować?". „Najdalszy termin to dwudziesty". „Jezu! Ależ to już będzie po wszystkim". „Ach, jak wtedy zaśpiewamy": „Droga Polsko, dzieci twoje, dziś szczęśliwych doszły chwil". „Piętnastego był cud nad Wisłą, teraz dla braterstwa dwu naszych narodów zajdzie cud w odwrotnym kierunku. Przyjdą! Zobaczycie. Piętnastego przyjdą!". „No, to zagramy odrazu. Będziemy pierwszą sztuką w nowym, wolnym, polskim teatrze". „Et, powiada przyszły Skrzynecki, jak znam walki w mieście, macie czas. Zdążycie sztukę wygrać w Mokotowie i jeszcze pojedziecie na objazd do śródmieścia". „Też coś, zbywamy go wzruszeniem ramion, pesymista!".

Zaczynamy próby. Maria z Anną modulują w swoich duetach, jak synogarlice. Chłopicki mruczy rolę jak brewiarz, czasem tylko zbudzi się i albo ziewnie albo wypowie parę wierszy z tą muzyką, jaką ma w głosie. Pac, doskonale napoleoński, prosi: „Uszanuj porywy tej młodzi co się garnie ku nam świeża, czysta". Uśmiechamy się do tych słów. Jest w nas wszystkich jedna i ta sama radość. Wzruszenie poezją splata się z wzruszeniem chwili. Coraz to w słowach dramatu zadźwięczy coś, co czyni, że myślimy jedno. Nie poszło tamtym, dawno temu. Nie poszło i raz i drugi i trzeci. Wciąż próby i próby. Na nic. Ale oto teraz się uda. Ta próba generalna naszej siły, naszej mądrości, naszych związków w świecie.

Wracamy, w powietrzu coś piszczy, koło uszu raptem jak nie zadźwięczy! Tracimy się. Iść czy nie iść. Bzyczy coś przecie. A ulica rzeczywiście pusta. „Chować się". Lecimy tropem głosu, który na nas tak woła. Gruby, dobry człowiek w kombinezonie z naszywkami podoficera. „Tną po ulicy, a te stoją i się rozglądają jak ta Kruzoa na wyspie". My znów przy oknach ciągnących się wzdłuż linii strzałów karabinowych, więc wydają się bezpieczne. Uliczka, ogródki, domki, takie wszystko jest jak z tablicy poglądowej przy nauce języków obcych. Teraz słychać wyraźny świst. Ostatecznie więc zbiegamy do suteryn. „Drzwi otworzyć!". „Zamknąć!". Ach, jakie to męczące, że i w tym muszą istnieć dwie szkoły. Ci, co chorują na obawę zamknięcia zwyciężają. Mimo to zalega względna cisza. Ludzie zbiegają z góry coraz rzadziej. „Jak tam?" „Zdaje się odleciały". „A jak z sytuacją hukową?" „Teraz wszędzie cisza". Wychodzimy. Spokój. Tylko tablicę poglądową ktoś zgniótł i pobrudził. Trzy domki z rządka naprzeciw naszej kamienicy wybite. Wszystko inne w kurzawie. Zabieramy się do domu. Gęsiego przez labirynt przejść. Ziemia wszędzie pod nogami się garbi. W miarę, jak upływają dni, coraz bardziej. Ani dwu kroków nie można dać po gładkiej drodze. To kartofle ktoś kopał, ktoś inny grób, ktoś znów trochę płyt wybrał z chodników na zasłonę okien w piwnicy. A ty teraz co krok to się potykaj! Ale na odmianę odrobina spokoju, zieleni, uliczka płynie jak rzeczułka. Nawet człowiek jakiś położył się na łące, plecami do słońca, z pięścią jedną złożoną na drugiej, na tym broda, wszystko razem oparte na ziemi. Śledzi może mrówkę, czy co? Nie! Teraz ukazał się cały zza drzew. Ubrany jest i żywy. Tylko część spodni ma oddartą, która okrywa pośladek. Pierwsza myśl dziecinna, że w skórę dostał aż do krwi. Już idą nosze. Wchodzimy na Odyńca. Dwie dziewczyny wloką, utykając wielki gar zupy na punkt obserwacyjny. O właśnie tu, na drugie piętro. Ale nagle wstrząsnęły się, trochę zupy się wychlupło. Strzał pacnął w wielką, wysoką umbrę lampy ulicznej. Jeszcze ci dźwięczy blacha. I śmiech. Z tego, że się panny przestraszyły. „Jeżeli jeszcze raz zachce się wam takich figlów, to zupę zabierzemy z powrotem!".

W domu Piotr przypomniał sobie, że umie piać na trawce. Chodzi z Jasiem i dom cały napełnia tym rozdzierającym brzmieniem. Jakaś stara kobieta sprowadziła się do nas, do schronu. Stoi przed domem. Ach, to ta co deskę niosła, ta głucha! Gorzej jest. Jakoś gorzej. W radio same niedomówienia, w „Biuletynie" — obiecanki. Nasz Londyn oświadcza, że bierze całą odpowiedzialność, ale nie mówi nam całej prawdy. Niechby już nie brał, ale żeby powiedział. Miejsca sobie nie można znaleźć. U ludzi radio, które nas zatruwa półsłówkami, w domu dzieci, na ulicy zbłąkane kule. Siadam z Jerzym do warcabów, żeby się trochę uspokoić. Ale znowu słychać jak ta nowa broń naciąga na nas bombę. Uciekamy na korytarz. Pada gdzieś niedaleko. Podmuch otwiera z rozmachem okno. Kurz. Wszystkie pionki poprzestawiane. A tymczasem ognie na wieczór dają na wszystkich brzegach naszego obozu to samo widowisko. Niemal na oścież całego nieba rozwarta ściana pożaru. Wielka, ponura strzecha dymy. Wybłyski rakiet. Po co? Na co? Nikt nie wie. Potem znów długo w noc gęsta strzelanina w jakimś punkcie. I od rana radio. I znowu nic. Przecież to jasne, że za tym się coś ukrywa.

„Patrz dokoła jak oto zgliszcz w ruinach dymi". Słowa poezji. Takie, inne, i jeszcze w niektórych miejscach przystające do naszej rzeczywistości. Ale żadna się w nas z tego powodu nie budzi satysfakcja. Stan nasz się robi coraz to inny. Teraz jest jakiś niepewny. Ilekroć reżyser prosi na jutro, coraz dłuższa upływa chwila, zanim padnie z naszych ust słówko, że zgoda. „Może się ktoś z państwa boi?" Przecież sam wie, że nie. Że to nie to. Że nie strach. Że nie zmęczenie. Ani te trochę głodu. To czemu rozziew pomiędzy jego prośbą a naszym przytwierdzeniem coraz się poszerza? Kiedy wracamy z Jerzym znów nas przyłapało i trzeba było zejść do pierwszej lepszej piwnicy. Milczymy na pewno o tym samym. U tej, którą wtedy przynieśli na salę obok hallu, gdzie są nasze próby, był jej kolega z oddziału. „Tu leży obywatelka Hanka, nasza łączniczka". Potem musiał czekać razem z nami, aż jej skończą opatrunek. Zamilkliśmy z próbą. Nawet trochę pozakrywaliśmy role. „Gdzie teraz jesteście?" „Ja?" „Nie, wasz oddział". Zwrócił głowę ku drzwiom, posłuchał trochę, czy go proszą. „Ja już teraz jestem jeden". Zapanował nad swoim westchnieniem. „Chłopaki się kładą".

Czy by nie można próbować nie tak na oczach ludzkich. „Przenieśmy się tam, gdzie mamy grać!" Aleśmy się nie przenieśli tak daleko. Utknęliśmy w korytarzyku. Alarm. Coś zaczyna bardzo blisko zgrzytać z całych sił w powietrzu. Spływamy w dół ciemnego schronu. Nie słyszymy huków, tylko od czasu do czasu ziemią wstrząsa czkawka. Rozmowy ucichły, bo to się już tak utarło, że przy bombie jak w kościele. Anna stoi wsparta o Marię. Chłopicki cichy. Pac, Skrzynecki, Małachowski nasłuchujący. Jeszcze się nam tułają w uszach słowa, które wypowiadali. Wodogrzmoty słów. Przyjmowaliśmy je w spokoju, ale jednym ciągiem kąt jakiś wewnątrz nas samych nasycał się goryczą i gniewem. Chłopicki! Boże! Boże! Znów, znów! Wyższy nad wszystko czeka, żeby się skompromitował nieudolny Radziwiłł, wódz naczelny, dlatego, że to jego następca. Zawiść, fochy, dąsy, gierki. I nie skoczą mu za to do gardła słowa poety! Jeszcze go bielą, złocą. To „wódz-orzeł" co „wstępuje w Zawroty" „u szczytu rycerskich chwał!" I teraz też jest pewno taki moment, że ktoś tam wstępuje na szczyty historii za te pół miasta obrócone w popiół i za swoje polityczne dziwy. A potem przyjdzie znowu taki moment, że go ktoś opieje jako bożyszcze. Rozpacz chwyta. Wołam Jerzemu. „Te primadonny historii". On żali się. „Te primadonny poezji".

Niepodobieństwo dalej ciągnąć prób. Niepodobieństwo grać. Nie! Nie! Najpierw jeden z nas usiłuje drugiego podniecić, a kiedyśmy obaj rozgorzeli, staramy się wzajem mitygować. Może się uspokoimy do jutra. W każdym razie nie dziś. Późno już. Zasiedzieliśmy się w schronie. A jeszcze chcemy na radio zalecieć. Co nowego? Słowa uznania, słowa zachęty, akademie, zebrania. Pan prezydent

przyjął pana ministra, pan premier pana generała, Annasz Kaifasza. A co wierszy, a co dobroczynnej muzyki. Nie, nie śmiej się Jerzy! Wiem co myślisz. Że znów, znów „świat piosnkę nam przesyła, harmonią dźwięków kraszone wyrazy".

„Skazańcom losu ręki nikt nie poda". Czytamy podczas tych krótkich pauz kiedy jest ciszej. Jeszcze raz, jeszcze raz tę Warszawiankę. Lecz nie dla niej samej. Wyprobowujemy poezję. Wybucham. „Wierzyłem, że idzie się ku czasom kiedy sztuka zluzuje modlitwę, teatr stanie się kościołem, a poezja religią. Że będziemy umieli dużo wierszy na pamięć jak pacierz. Na rano i wieczór, i w radości i w biedzie, i w nieszczęściu. I zamiast benedicite. I że właśnie w takim stanie przybicia, w jakim jestem dzisiaj, wezmę do ręki dobry, długi, piękny poemat, aby się ukoić." Jerzy przygotowuje się do odpowiedzi z zakłopotaniem. „Jest na pewno osoba, którą kochasz nade wszystko i z którą jesteś szczęśliwy. Ale chyba są momenty, w których ona ciebie denerwuje".

Coraz gorzej biją, to artyleria, to naloty w obóz. Obserwator niemiecki całymi dniami się patrzył. W blokach domów na Odyńca gdzie było dowództwo światło po nocach paliło się w oknach jak chciało; aż na naszej ulicy słyszałeś ich telefony! Teraz walą w obóz, sypią granatnikami, ubijają dom po domu. Całe dnie schodzą im na tej robocie. Dopiero na trzeci, pod wieczór idziemy się dowiedzieć co będzie. Na naszej drodze już nie ma domów, ani drzew, ani ulic, ale jakby odmiecione huraganem wykopalisko. Nie przypomina żadnego miejsca, gdzieby mogli ludzie mieszkać. Nie wiadomo do czego zdatne. I jak pusto tu. Wzgórza pourastały ze zwalisk, z domów, z rowów, z grobów. I kręto trzeba iść. Wreszcie willa gdzieśmy mieli grać. Wygląda jak szalona, która podrze i porozrzuca wszystko co na sobie miała. Drzwi, kawały dachów, futryny ciśnięte daleko od siebie. Nawet kule ze schodów pchnięte na przeciwległy chodnik. Dziury powywalane. I od strony okna, z któregośmy patrzyli na Okęcie, i od strony tego drugiego na fort też. Nie ma nikogo żeby się zapytać. I nie ma się, prawdę mówiąc, o co pytać. Tylko popatrzeć w około i człowiek wszystko wie.

Teraz drogą z powrotem. Pusto naokół. Ktoś w końcu. Staruszka głuchawa, która deski nosi, tym razem z kartoflami, nikt już się od niej nie domaga, żeby obchodziła obóz w krąg. Nie ma go już! Przystajemy. Zatacza ręką: „Ot, co te panowie na nas sprowadzili". Ale mówi to bez cienia złości w głosie, bez żadnego wyrzutu, tak jakby to wszystko było sprawką wichury czy powodzi. Żywiołu. Bo też dla świata są cztery żywioły: powietrza, ognia, wody i panów. I człowiek prosty i człowiek pierwotny jest wobec nich bezradny. Osłonić się czasem może przed nimi, ale nie potrafi zmienić ich siły. I w świętej cierpliwości, godzi się.

Na naszej uliczce zatrzymuje nas dziewczyna, o której wiemy, że ją znamy; żaden z nas sobie nie uprzytamnia, że to miała być Anna. Powiada nam o ostatnich śmierciach. A obóz? Rozprószył się po częściach Mokotowa, których jeszcze nie bombardują. Szpitale, biura, wojsko. „Również u was w domu dostał kwaterę jakiś oddziałek." Tak! Przed bramą stoi warta. Żołnierz mały. Może ma dwanaście, może czternaście lat. Karabin trzyma sztywno i dumnie spod oka patrzy jakie robi wrażenie. Ale nie na nas patrzy. Patrzy na Piotra i Jasia.

JERZY ZAGÓRSKI

Ballada o Serbii

Jeśli to nie są dnie ostatnie
I dane będzie dziejom trwać,
To w jakim kruszcu trzeba lać
Posągi twoje, kraju bratni?
Złoto rozdrapią, spiże stopią,
Marmury zmiażdży czasu młot
I tylko wiara jest jak lot
Ptaków, co w niebie wieczność tropią.

Jak ten, co wiosną się otula
Wbrew słotom, wichrom, zimnu wbrew,
W pąki po śmierciach zimy, krzew,
Był kraj. Miał kraj młodego króla.
Gdy świszczał bat i dzwonił łańcuch,
Diabelska noc jeżyła włos,
Na zgliszczach wołał matek głos:
Serbio, na pomoc chrześcijaństwu!

Ten krzyk zdławiony zbudził Serbię
I porwał ją i uniósł wzwyż.
A potem wbito ją na krzyż
W dolinie ziemskiej, w kraju cierpień.
Dwanaście dni, dolino płaczu,
Dwanaście nocy płonął bój,
A gdy ucichły chrzęsty zbroj
Stała nad krajem pieśń rozpaczy.

Rachunek, handel, służba sile
Tym wszystkim umiał wzgardzić Serb.
Więc długo jeszcze śmierci sierp
Grzązł w kurzu krwi i ziemskim pyle.
W łoskocie wozów i faławców
Zobaczył wśród ognistych grzyw
Kraj jak dziecięcy męstwa zryw
Miażdżył żelazny krok oprawców.

Przesłanie: Dwanaście dni, dwanaście nocy
Za dwa tysiące starczą lat,
Gdy dzwoni łańcuch, świszcze bat
I rży diabelska pieśń przemocy.

1941 r.

STANISŁAW DYGAT

Odczyt o Polsce

Bohater powieści „Jezioro Bodeńskie", Polak — Warszawianin, posiadający przypadkowo obywatelstwo francuskie, zostaje w roku 1940, w ramach ogólnej akcji, internowany przez Niemców jako cudzoziemiec i osadzony w obozie w Konstancji nad jeziorem Bodeńskim. Towarzyszami niewoli są Anglicy i Francuzi, obojga płci, jak również Polacy z angielskimi lub francuskimi paszportami. W tej międzynarodowej atmosferze, wywołanej sztucznie, ścierają się jawnie i skrycie różne problemy i temperamenty narodowe. Niniejszy fragment przedstawia konsekwencję szeregu takich starć: dwaj zaprzyjaźnieni intelektualiści Francuz i Anglik prowokują Polaka do wygłoszenia odczytu o Polsce.

Polak, nie czując się powołany w tamtej chwili i w tamtym miejscu do mówienia suchą mową prelegenta o swoim kraju do oczekujących go słuchaczy, którzy znudzeni tępym życiem obozu są tylko ciekawi prelekcji, po prostu tak, jak każdej innej na jakikolwiek temat, postanawia powiedzieć im swoją prawdę o Polsce w sposób własny. Prawda ta, a szczególnie sposób jej wyrażenia, staje się psychologicznym miejscem starcia się dwóch typów umysłowości i ich racyj kulturalno-narodowych.

Nadszedł dzień mojego odczytu. Przygotowywałem się do niego niezwykle starannie. Rano, zaraz po śniadaniu szedłem na górę, siadałem przy stole, obkładałem się trzema wieszczami i historią Polski i czytałem, aż mi się uszy trzęsły, ukrytą wśród nich „Zbrodnię w zamku Blind", którą pożyczyłem od Janki. Vilbert i Mac bardzo dbali, żebym miał przy tym spokój, upraszając wszystkich o ciszę i nieprzeszkadzanie mi. Czasem spoglądali na mnie spod oka z zadowoleniem, a wtedy odrywałem wzrok od książek i jakby namyślając się chwilę, robiłem na specjalnie przygotowanych karteczkach notatki pisząc „ząb, zupa, dąb", albo „nie pieprz pietrze wieprza pieprzem" czy też „przeleciały trzy pstre przepiórzyce". Po południu pod czujnym okiem Maca i Vilberta przechadzałem się trochę samotnie, z pochyloną głową i zmarszczonym czołem po podwórku. Gdy znalazłem się w tej niewoli u Maca i Vilberta, gmach szkoły przemieniony na obóz dla wartościowych i interesujących ludzi różnych nacji, wydawał mi się jakąś obszerną przestrzenią wolności, pełną przeróżnych możliwości. Patrzałem z zazdrością na ludzi wolnych, którzy po śniadaniu mogli, nieskrępowani cudzą wolą, udać się albo na podwórko, albo pograć w karty, przespacerować się po korytarzu, czy też wyglądać przez okno i dowiedzieć się, co służąca z przeciwległego domu zakupiła na targu na obiad.

W obozie panuje silne zainteresowanie moim odczytem na który oficjalnie zezwolono pod firmą: „Budownictwo drzewne w Małopolsce" (Holzbau in Galizien). Ludzi ekscytuje i pociąga fakt, że się będzie coś działo, że się na coś pójdzie, tak jak do kina, czy do teatru. Każdy przyjdzie i będzie reprezentował siebie samego, jako przybysz. Gdy wejdzie, inni powiedzą: o, patrzcie! I ten przyszedł. Zostanie przywrócona funkcja człowieka towarzysko-osobista i indywidualna, bo o ile zgromadzeni w obozie internowani są masą, o tyle zgromadzeni na odczycie słuchacze będą zawsze poszczególnymi osobami, które specjalnie się ubrały i specjalnie przyszły. Pozycja moja od momentu, gdy rozeszła się wieść o odczycie, niezwykle wzrosła. Chodzą wieści, że jestem człowiekiem wybitnym, niezwykle mądrym, który uświadomi wszystkich w kwestiach niezwykle dla człowieka ważkich i istotnych. (Jeden pan Pociejak zapatruje się na to wszystko sceptycznie. Przyłapał mnie raz na schodach i powiedział: „Niech panu Bóg da jak najlepiej, ale jakoś mi się to wszystko nie wydaje. Coś mi pan za młody".) Jestem często zatrzymywany w celu wymienienia paru słów. Ludzie lubią przejść się ze mną i pokazać przed innymi, że są ze mną w bliskich stosunkach. Wpływa na to niewątpliwie i fakt, że będę prelegentem, kimś kto wobec wielu będzie sam. Zastanawiałem się często, dlaczego ludzie tak lubią, by ich widziano w towarzystwie znanych aktorów, muzyków, artystów, czy nawet sportowców, słowem wszystkich tych, którzy pojedynczo występują wobec wielu. Dzieje się to po prostu dlatego, że naturalną tendencją społeczną jest chęć wyrywania się z tłumu ku niezależności pojedynczej i indywidualnej. Jest to, jak wiadomo, sprawa niełatwa: człowiek wyrywa się coraz rozpaczliwiej ku tej górności indywidualnej, a życie coraz chwyta go za nogi i wtapia w tłum z powrotem. Aktorzy, artyści itd., którzy z istoty swego zawodu występują pojedynczo i publicznie, są w mniemaniu tych wyrywających się, tak obficie obdarzeni ową górną indywidualnością, że wystarczy otrzeć się o nich (na oczach innych), aby samemu przysporzyć sobie nieco chwały pojedynczości i ubarwić się w monotonnej szarości tłumu.

W dniu odczytu już nie pracuję rano. Wszystko przygotowane — mówię Macowi i Vilbertowi i idę po śniadaniu przejść się po podwórku.

W czasie obiadu odczuwam wkoło siebie szczególną atmosferę, jaka otacza zazwyczaj osobę mającą odegrać w czymś główną rolę. Jest to pokrewne atmosferze imienin: balansowanie między przyjemnością egocentracji a zażenowaniem z tego powodu. Ludzie uśmiechają się do mnie, przesyłają pozdrowienia ręką, a Mac i Vilbert patrzą na mnie troskliwie; śledząc każdy kęs, który niosę do ust, jakby się bali, żebym się nie udławił. Po obiedzie nastrój imieninowy wzmaga się, nie jest to już właściwie nastrój imieninowy, ale atmosfera, jaką stwarza się wokół ministra w uzdrowisku, gdzie przyjechał leczyć artretyzm. Mac i Vilbert nie pozwalają mi wziąć udziału w przemeblowaniu kaplicy na salę odczytową (w tej uniwersalnej łaźni ducha ma się to odbyć). „Już my damy sobie radę, pan niech przejdzie się trochę po podwórku i zaczerpnie powietrza". Używajcie sobie na mnie, używajcie póki co. Już niewiele wam na to czasu zostało. Przechadzam się i zaczerpuję powietrza tak jak sobie tego życzą. Myślę przy tym: „Vilbert i Mac są to niespotykane osły. Ejże. A może to ja jestem osioł? Może to wszystko jest z ich strony ładne i słuszne, przecież bądź co bądź to nie głupcy. Vilbert jest świetnym poetą. Czyż to nie ja przypadkiem jestem osioł, krnąbrny i przekorny? Tak. Tak. Ale jakież mają prawo dobierać się do mojego wnętrza? Jakie prawo mają wymuszać ze mnie jakieś fałszywe oblicze, takie jakie im by się podobało? A może mają jakieś prawo? Nie, nie mają. Co im do tego, jaki jestem? Czyż mam robić ze siebie małpę, która za miedziaki ich uznania i poważania odtańczy taniec, jaki im się spodoba? Nie, nie, panowie. Nie trzeba było wywoływać małpy z lasu. Teraz musicie się przypatrzyć jej własnemu tańcowi, podług własnej melodii a nie melodyjek, jakie jej gwałtem gwiżdżecie nad uchem. Hm. A może czasem, tak przez grzeczność i układność, należy trochę potańczyć, jak inni gwiżdżą? Dla świętego spokoju, żeby było wszystkim przyjemnie? Może to nie takie ważne — jak powiada Janka. Przecież trzeba być trochę grzecznym i układnym i starać się, żeby wszystkim było przyjemnie. Tak? Gdzież jest granica grzeczności i układności? W jakąż niewolę można się dla grzeczności i układności wplątać, w jakimż ciemnym i gęstym lesie zabłądzić? Kto tu ma rację? Czyja jest słuszność? Każdy ma rację swoją, ukształtowaną i ściśniętą swoim organizmem i chłonnym we własnej rzeczywistości aparatem psychicznym. A racja wypośrodkowana i bezwzględna czy jest i gdzie jest? Ba, o tym dowiemy się na Sądzie Ostatecznym, a może i tam nie. Tak, tak. Ale tu nie ma i tak co się nad tym zastanawiać, alea iacta est"...

Patrzę na zegarek. Oho, już na mnie pora. Schodzę z podwórka, idę na górę, biorę trzech wieszczów oraz notatki i bez żadnej tremy, bez zdenerwowania zmierzam dumnie do kaplicy, odmienionej w salę odczytową. Już zdala dochodzi gwar. Kaplica jest pełna. Ludzie są niezwykle ożywieni i podnieceni. Na moment wydostali się z tej niewoli. W tej chwili nie są niczym innym jak słuchaczami odczytu, niewolnikami co najwyżej sali odczytowej, takimi samymi, jakimi byliby gdziekolwiek bądź i kiedykolwiek bądź na odczycie na szerokim świecie. Stoję chwilę przed drzwiami i patrzę. To nagłe wyzwolenie zmienia ich styl obcowania między sobą. Są towarzysko ugrzecznieni, flirtujący i dowcipni. Opowiadają sobie, co się wydarzyło zabawnego, kto z kim i co, witają nowo przybywających wesołymi okrzykami i dowcipnymi uwagami. Wchodzę. Gwar się tłumi. Pomruk. Aaaaa. Okrzyki: Cicho, cicho. Przechodzę wzdłuż krzeseł i staję przy moim stole, na którym jest karafka z wodą i szklanka. (Nawet tego mi nie oszczędzili). Kłaniam się, rozlegają się oklaski. Obejmuję salę wzrokiem. W pierwszym rzędzie między innymi siedzi staruszek pan Jacques Collin, lektor języka francuskiego na uniwersytecie warszawskim, który z powodu artretyzmu rzadko wydala się ze swego pokoju, a nawet tam jada. Siedzi z wielką wprawą i rutyną, do twarzy przylepił uśmiech aprobaty i patrzy na mnie. W dalszych rzędach ksiądz przechylił głowę i złożył ręce na brzuchu, obok niego pan Pociejak oparł rękę na lasce, a drugą już na wszelki wypadek nagina ucho, żeby lepiej słyszeć. Widzę, że siedzi i Thomson, przyszedł chyba przez kurtuazję. Jest obojętny wobec otoczenia i tego wszystkiego razem. Czyta dyskretnie książkę. Mac i Vilbert siedzą skromnie na samym końcu. Poza tym mnóstwo osób, które zupełnie nie wiadomo po co przyszły. Jest nawet jeden take-boy, ten sam, który raz na korytarzu gwizdał scherzo Brahmsa. Ma minę poważną i zdaje się być tym wszystkim bardzo zainteresowany. Rozkładam książki, niby to przerzucam notatki, wreszcie opieram ręce o stół, patrzę w salę, rozchylam wargi i biorę oddech. Robi się śmiertelna cisza... Nie, zaczekajcie, poigram z wami. Niby to zawadza mi krzesło, przymykam wargi, zdejmuję ręce ze stołu, odwracam się tak, jakbym trochę rozglądał się za siebie, Vilbert i Mac okazują lekkie zaniepokojenie, przesuwam krzesło o dwa centymetry i powracam do stołu, ale tym razem przyjmuję inną pozycję: opieram się tylko jedną ręką, drugą wspieram pod bok i tępo patrzę w okno, nie rozchylając warg, patrzę tak, jakbym nigdy nie miał zamiaru zacząć mówić. Gdy to milczenie już, już osiąga jakiś stopień niemożliwy do zniesienia, mówię znienacka: „Panie i panowie" i odwracam się ku sali, kładąc obie ręce na stole i powracając do dawnej pozycji. Czuję oddech ulgi i odprężenie na sali.

„Panie i panowie. Zostałem oto zaproszony do wygłoszenia przed gronem towarzyszy niewoli prelekcji pod tytułem „Ja i mój naród". Wyznam szczerze, iż stawia mnie to w sytuacji trudnej i niewdzięcznej. Muszę bowiem zadać sobie pytanie: czemuż to mnie właśnie przypadł ten honor? Czyżbym odróżniał się czymkolwiek od świetnego grona, do którego mam w tej chwili zaszczyt przemawiać? Jeżeli tak jest, to wyróżnienie to nie wypada z pewnością na moją korzyść, bowiem wy szanowni państwo, jesteście po większej części ludźmi dojrzałymi, określonymi w życiu i profesji i jeżeli wyrazić się tak wolno, z życiem spoufaleni i w życiu zadomowieni. A ja, cóż. Ledwie zdołałem nieśmiało zapukać do drzwi domu, na którym wisi napis: „Życie dojrzałe. Osobom niedojrzałym wstęp surowo wzbroniony" i nie odpowiedziano mi jeszcze „proszę", gdy tymczasem wybuchła wojna i dostałem się do tej oto niewoli. Dlatego mniemam, że wszystko to, co ja zdołam powiedzieć na zadany mi temat, byłoby nadmiernie śmiałe i zuchwałe, gdyby zostało wygłoszone tonem apodyktycznym i z jakimikolwiek aspiracjami do uogólnień. Nie. Ja zamierzam wywiązać się z mojego zadania jak najuczciwiej i jak najprawdziwiej. Będę się starał ukazać siebie dokładnie takim jakim jestem, a mój sąd o świecie i sytuację moją wobec narodu a narodu wobec mnie — ściśle tak, jak to widzę i czuję, bez względu na to, czy jest to z punktu widzenia wyższej racji obiektywnej słuszne czy nie. Tylko w ten sposób będę mógł mieć pełne poczucie, że wywiązałem się z mojego zadania należycie i uczciwie, i czyste sumienie, że szanownych państwa nie wprowadziłem w błąd ani oszukałem. Prelekcji mojej nie wygłaszam według ustalonego z góry planu, jakim było by na przykład podzielenie jej na trzy części: a) Mój naród. b) Ja. c) Wzajemny stosunek. Zamierzam utrzymać ją raczej w formie wolnej improwizacji, a to dlatego, że primo — zdaniem moim naród i człowiek, to dwie rzeczy tak wzajem przenikające się, że trudno poczynić między nimi wyraźny rozdział, secundo — bezplanowość jest tak wybitną cechą mojej natury, że uważam za obowiązek w ten sposób ją zaakcentować. I jeszcze jedno słowo wyjaśnienia: uczciwość zmusza mnie do improwizacji, ale improwizacja jest moją słabą stroną. Dlatego będę się może trochę jąkał, wykażę nieco niezdarności i ślamazarności, tu i ówdzie będę bajdurzył bez sensu w sposób wzbudzający żałość. Ale i to nie będzie pozbawione pewnej wyższej racji i, że tak powiem, symboliki. Jąkanie, niezdarność, ślamazarność i bajdurzenie w sposób wzbudzający żałość to dosyć wyraźne rysy mojego oblicza tak zewnętrznego jak i wewnętrznego. Pozostanę przeto uczciwym i prawdziwym wobec państwa zarówno co dotyczy treści jak i formy. Po tych paru słowach wyjaśnienia przechodzę do istoty rzeczy i proszę, aby pamiętać: to nie mistrz przemawia do równych sobie, ale uczeń życia zdaje nauczoną niezdarnie lekcję przed gronem świetnych profesorów."

Cały ten wstęp wypowiedziałem niesłychanie gładko i ze swadą, jakbym całe życie nic innego nie robił, tylko wygłaszał prelekcje. Widzę, że wrażenie, jakie to wywołało, jest znakomite. Słuchacze poruszają się z pełną zadowolenia swobodą, Mac nachyla się do Vilberta i coś mu szepce, Vilbert kiwa głową z uśmiechem, a pan Collin ustala się w uśmiechu aprobaty.

Odejmuję ręce od stołu i udaję, że przypatruję się notatkom, zresztą to krótka tylko chwila, automatyczny odruch rutynisty, który mimo świetnych notatek i tak ma wszystko w głowie.

„Gdybyśmy mieli, proszę państwa, przed sobą przedwojenną polityczną mapę Europy, co nie jest możliwe, ponieważ nie znalazłem odpowiedniego pretekstu dla uzasadnienia konieczności przypatrywania się politycznej Europie przy zagadnieniach budownictwa drzewnego w Małopolsce (śmiech, życzliwy dla mojego dowcipu, a jednocześnie drwiący z wystrychniętych na dudków Niemców), gdybyśmy więc mieli przed sobą mapę Europy, a spojrzenie nasze skierowali ku wschodowi, uwagę naszą zwróciłby kraj, którego granice, wytyczające jego powierzchnię, nadają mu wyróżniający od innych kształt. Niepodobny jest ani do sąsiednich Niemiec, które niby drapieżny ptak usiłują rozpostrzec skrzydła nad Bawarią i Badenią na południo-zachodzie a Prusami na północo-wschodzie, z łbem groźnie wiszącym między Polską a Czechosłowacją; nie przypomina banalnych i nieciekawych kształtów Rumunii, Bułgarii czy Węgier, ani Francji, która wygląda, jakby miała ochotę czmychnąć gdzieś z pomrukującego groźnie kontynentu, ani też Anglii, tego żaglowca, płynącego spokojnie między oceanem Atlantyckim a morzem Północnym. Kraj ten kształtem przypomina serce, a przy

odrobinie dobrej woli, można go i przyrównać do człowieka, który rozwarł ramiona. Tak. Rozwarł ramiona, przybite do krzyża".

I to również wypowiadam gładko i biegle. Obserwuję, że znakomite wrażenie jeszcze się wzmaga, dochodzi do pewnego szczytu. Właśnie o to mi chodzi. Zaczerpuję oddechu. niby zamierzam natychmiast ciągnąć dalej, ale chrząkam, przełykam ślinę i wzrok mój pada na karafkę z wodą. Biorę ją, usiłuje nalać trochę do szklanki, jednakowoż czynię to tak niezgrabnie, że szklanka przewraca się, spada na ziemię i tłucze się, a woda rozpryskuje się dokoła, rozlewa się długą strugą po stole. Pan Collin z niezmiennym uśmiechem aprobaty, który wszelako tym razem znaczy: „nic nie szkodzi", obciera zmoczone spodnie, inni z pierwszego rzędu, którzy na brzęk szkła gwałtownie się porozsuwali. wracają po chwili na swoje miejsca. Panuje pewna konsternacja i poruszenie. Mówię „przepraszam" i usiłuję chusteczką do nosa zetrzeć wodę ze stołu, czynię to jednak tak niefortunnie, że znów pryskam wodą na pana Collina, który obciera marynarkę i dubluje uśmiech aprobaty mówiący: „i tym razem nic nie szkodzi"; Mac i Vilbert wyciągają szyje, żeby stwierdzić, czy nie zachodzi potrzeba interwencji, wszyscy mają miny dosyć głupie. Incydent uspokaja się wreszcie i mogę mówić dalej. Jednakowoż czuję, że coś się popsuło, że sielanka świetności, gładkości, życzliwości i wzajemnego zaufania prysła, niby szklanka niezręcznie nalanej wody. Jakże kruche i złudne są nastroje między ludźmi. Jeden pan Collin nie pozbywa się swego uśmiechu aprobaty i oczekuje dalszego ciągu, jak gdyby nigdy nic. Podejrzewam, że ten uśmiech jest u niego grymasem zawodowym.

Uśmiecham się jakoś ubogo, cały staję się jakiś wątły, niezaradny i jakbym chciał wzbudzić litość. Ręce mi drżą, poprawiam kołnierzyk, chcę zacząć mówić, ale coraz chrząkam i przełykam ślinę.

„Hę, hę... hm... tego... o czym to ja właśnie?... Aha, ...że... a nie, nie. Zaraz. zaraz. Bo ta szklanka i wszystko mi tego... Ojoj, oj... ciężkie jest życie. No, więc... Chwileczkę, cierpliwości.

Sala tak tężeje, mrozi się i tak zimny powiew uderza o mnie, że niemal mam ochotę obwiązać szyję szalikiem, ażeby się nie zaziębić. Zaczynam grzebać wśród notatek, ale już nie zawodowo, tylko jak krótkowidz, który wśród rupieci szuka zgubionych okularów. Biorę kilka do ręki.

„Ząb, zupa... nie, to nie to... przeleciały trzy pstre... Eh, coś mi się pomyliło... zaraz, zaraz... a mniejsza tam o te głupie karteczki... Więc zaraz... czy ja czegoś nie o mapie? Ale, ale, tak, tak. Już, już. Już, już. Myśli powracają mi do głowy, jak jaskółeczki do rodzinnego gniazdka pod strzechą z zimowej wędrówki zamorskiej... Hm. Tylko tego... czy jaskółeczki wyfruwają na zimę za morze, bo już nie pamiętam... eee, mmmm... Nie ma tu jakiego ornitologa? Nie ma, gdzieby tam. Ale. Wyfruwają, wyfruwają, przecież jest taka bajka niejakiego Oskara, Anglika, „Szczęśliwy książę". Ta taka tego... eee, jaskółka nie wyfrunęła, chociaż wszystkie wyfrunęły, bo ona, panie tego, została, żeby wydziobać oko pewnemu księciu, który stał na cokole, no i ten książę, ale mniejsza tam o to, innym razem opowiem. W każdym razie najważniejsze, że wyfruwają, najlepszy dowód. Chociaż... eee... właściwie dlaczego? Co, niby Oskar nie mógł się też pomylić? Dlaczego? Że Anglik? A co, czy Anglicy nieomylni? He, he, he, to się jeszcze zobaczy. Ale ja się z wami potem... tego tam... rozprawię, a tymczasem wrócę do moich jaskółek, to jest właściwie do mamy... to znaczy eee do tej, do tego, do papy, przepraszam, chcę mówić do mapy, bo o jaskółkach tylko tak mimochodem, en passant.

Więc mówiłem, że Polska jest jak ukrzyżowany człowiek. Hę? Nieprawdaż? Tak, tak. Wy mieszkańcy krajów, które albo mają ochotę czmychnąć z pomrukującego groźnie kontynentu, albo niby żaglowiec płyną spokojnie po oceanie, nie wiecie, co to jest wisieć na krzyżu. Nie, nie wiecie, nie. Wy usadowiliście się w bardzo wygodnym fotelu, w fotelu cywilizowanym i kulturalnym, a z tego fotela roztacza się przed wami tylko widnokrąg cywilizowany i kulturalny, można powiedzieć zachodnio-europejski. Niema innej rzeczywistości, tylko cywilizowana i kulturalna, tylko zachodnio-europejska. Chyba, że na filmie, chyba że w książce, chyba na obrazkach. Ale filmy ogląda się w fotelu, książkę w fotelu się czyta, w fotelu obrazki się ogląda. W fotelu cywilizowanym, kulturalnym. zachodnio-europejskim. Więc cóż wy sobie możecie myśleć o tym ukrzyżowanym człowieku? Cóż na jego temat możecie sobie wyobrażać? Nic, zupełnie nic. Możecie wzruszać najwyżej ramionami. Widnokrąg zachodnio-europejski nie przecina się w żadnym punkcie z widnokręgiem człowieka ukrzyżowanego. Być ukrzyżowanym? Phi! To jakoś nie zachodnio-europejskie, nie kulturalne i w ogóle niemądre. Ukrzyżować innych, o, to wy czasem cichcem i pokryjomu potraficie. Ale samemu? Ha, ha, ha. Moi państwo, czy wyobrażacie sobie gentlemana z Eton w cylindrze, albo rentiera z rozetką Legii Honorowej wiszących na krzyżu? Ha, ha, ha. Ha, ha, ha. Nie, śmiech pusty ogarnia. (Śmiałem się długo, zatoczyłem się aż od stołu i łyknąłem wody z karafki. Patrzały na mnie twarze przerażone, zdezorientowane, panu Collin uśmiech aprobaty zamarł na twarzy, ni to już uśmiech, ni to grymas). Ejże, moi kochani Anglicy i Francuzi. Ejże, ejże. Ja tu do was będę gadał, ale czy wy co rozumiecie? Czy wy możecie zrozumieć? Co w ogóle wy możecie zrozumieć, co nie jest zawarte w tak bardzo kulturalnym i cywilizowanym widnokręgu zachodnio-europejskim? Zresztą oddam wam pewną sprawiedliwość. Ja tam znowu na was nie ciskam gromów, że wy nie rozumiecie i nie zrozumiecie, ja nie rozdzieram szat, nie plwam na was, nie stawiam was pod pręgierzem. Bóg z wami. Zrozumieć można tylko swoje, cudze da się najwyżej obejrzeć. Cudze obchodzi się z zewnątrz i nijak się dostać do środka. W swoim siedzi się wewnątrz i z tego wnętrza ogląda się świat boży.

— Hajże. hajże — zawołałem niespodziewanie, tęsknie i przeciągle. — Idzie se Jaguś podle lasu, dzban malin niesie, a hej dolo, dolo — przyśpiewuje. Gdziesik tam w dali wieża kościoła z zieloności wystrzela i błękit czerwonością kłuje. Słoneczko przygrzewa, kukułeczka z lasu kuka: Doloz moja doloz, ilez jesce latek? Przyklękła se Jaguś pode krzyżem przydrożnym i modli się, modli, a dzban z malinami ostawiła w rowie. O cóż ona się ta modli? A Bóg raczy wiedzieć, modli się i tyle, a wzdycha tylko czasem: Oj dolo moją, dolo. A tymczasem zakradł się złodziej: buch, buch, dzban z malinami porwał i ucik. A Jaguś modli się i modli,, gdy skończyła patrzy: dzbana z malinami nie ma. I dopieroż lamentować, narzekać i ręce łamać: Ojze mój dzbanuszku, ojze wy moje malinki cerwoniutkie, na jarmark was niesłam, grosików bym za was dostała, a za grosików cerwonom sukienecke ze wstązeckami bym se kupiła, oj doloz moja, doloz. I znów idzie se Jaguś podle lasu, dzbana malin nie niesie, a hej dolo, dolo przyśpiewuje, że aż po lesie jęcy. I znów krzyż przydrożny napotkała, i pomyślała se: trza się pomodlić trocha. I modli się, modli, a myśli se: teraz mi się modlić skorzej, bo o nijaki dzban troskać się nie trza. I modli się, modli, wzdycha tylko czasem: oj dolo, moja dolo, a Pan Jezus na krzyżu wisi. Wisi Pan Jezus na krzyżu, rozwarł ramiona i całą Polskę nimi obejmuje jak długa i szeroka. Cień krzyża pada na wieś, pole, łąkę, las, na miasteczko i na miasto, na drogę wyboistą i błotnistą, po której jedzie, trzęsąc się i podrzemując, chłopek na furmance.

Tak, tak, panie i panowie. Nie wiem, o czym wam tu dalej mówić i nie bardzo mi się chce, bo nie warto. Co wam do tego wszystkiego. Czy wy się kiedykolwiek zerwiecie ze swoich foteli dlatego, że ktoś tam cierpi na krzyżu? Bo czymże jest. trzeba się nam zastanowić, życie? O, ba, czymże jest życie, każdy by to chciał wiedzieć. Czy życie jest to siedzenie w fotelu, fotelu życiowym i zachodnio-europejskim, czy też może raczej wiszenie na krzyżu? Ba, na dwoje babka wróżyła. Ale coś mi się tak zdaje, że jedno i drugie to jakoś nie jest w porządku. Bo wy, co w tych fotelach siedzicie kulturalnie i zachodnio-europejsko, to siedzicie jakoś chytrze, przebiegle, niezwykle, materialistycznie i egoistycznie, a wyraz twarzy mówi, że cel uświęca środki. Wy politycy. Ba, polityka. Wy jesteście humanitarni, ale ba, polityka, tu się trzeba pogodzić z tym i owym, tu trzeba tak od dołu, od tyłu i tede. Polityka to świństwo, to wielkie świństwo. wy wiecie, bo jesteście humanitarni i życiowi pacyfiści, ale nie ma rady, w polityce trzeba być chytrym, bezwzględnym, nie przebierać w środkach, silni zostają, słabi giną. Trzeba, trzeba, żeby w fotelu usiąść, w fotelu kulturalnym, zachodnio-europejskim, jedynym fotelu, w którym można siedzieć. Tak, panowie, bo do was szczególnie tu się zwracam, zważcie to jednak, że istnieje naród, dla którego białe jest białe, a czarne jest czarne i nikt go nie może przekonać, że może to być jakoś inaczej. I naród ten nie umie być polityczny, bo musiałby na białe zacząć krzyczeć czarne, a na czarne białe, a on nie może, nie może, nie może, w żaden sposób nie może. A widząc, co wy tam na swoich fotelach wyrabiacie, nic innego nie może zrobić, jak westchnąć i dać się ukrzyżować. Dla wyrównania. To za wasze grzechy ten naród wisi na krzyżu, oplwany, biczowany, cierpiący. A czy w was wzbudzi to coś więcej, jak faryzeuszowski uśmiech współczucia, a niby lekceważenia? Czy to ukrzyżowanie jest czymś więcej dla was, jak jeszcze jednym momentem do wyzyskania dla waszej polityki? Oj panowie, ale musi przyjść dzień zmartwychwstania, musi przyjść dzień, w którym zrozumiecie, że to dla was ten naród umierał na krzyżu. Nie dla waszych granic, imperiów, czy foteli, ale dla waszego ducha, dla zagubionej przez was wyższej prawdy życia. A to wszystko przeczytałem w tych oto księgach (wskazałem na trzech wieszczy) i tylko streszczam jak umiem, więc niech nikt się na mnie nie gniewa, ani dąsa."

— Ludy, Winkelried ożył — wrzasnąłem nagle tak strasznym głosem, że w pierwszych rzędach cofnęli się i zrobiło się małe zamieszanie, a w oknie kamienicy na przeciwko ukazała się siwa głowa w mycce, z porcelanową fajką o długim cybuchu w zębach, rozejrzała się po niebie i zawołała niespokojnym głosem do sąsiada z góry:

— Hallo, Herr Mayer, ist es Fliegeralarm?

Poprawiłem wzburzone włosy i popatrzałem na salę nieco łagodniej.

„Odkupienie odkupieniem, ale nie da się zaprzeczyć, że ten odkupiciel ma, jak wszystko na świecie, swoje defekty. Jak na ukrzyżowany naród trochę w tej Polsce ludzie są zbyt beztroscy i lekkomyślni. To może nawet i miłe, ale nie bardzo rozsądne i dużo z tego biedy czasem wynika. Lubią się przy tym między sobą za łby brać, oj, lubią, lubią, a najgorsze, że sami nie wiedzą o co. Bo każdy coś sobie pomyśli, a zanim zrozumie to, co pomyślał, to już mu się zdaje, że to, co pomyślał, jest jedyne godne uwagi na świecie i chce walić w łeb każdego, kto pomyśli jakoś inaczej .A tu drogi wyboiste i błotniste, chłopek furmanką jadąc trzęsie się i drzemie, jeszcze zleci i łeb sobie rozwali. A domy niewykończone, bo majster się upił, a architekt uciekł z żoną przedsiębiorcy. A bank zamknięto, bo coś tam nakradli, a na poczcie okienko zamknięte, bo urzędnik je śniadanie. A kolej nie dojechała, bo palacz obraził się na maszynistę, wysiadł i poszedł w pole. A trzech facetów miało się spotkać w „Ziemiańskiej" na Mazowieckiej, żeby założyć komitet europeizacji miasteczek w Polsce, ale jeden przyszedł o 6.30, drugi o 7 do „Ziemiańskiej" na Marszałkowskiej, a trzeci nie przyszedł wcale i już teraz żadnego komitetu nie założą, bo się pokłócili przez telefon, „że z panem nie można się umawiać". A miał się odbyć międzynarodowy mecz futbolowy z odegraniem hymnów, ale hymnu gości nie można było odegrać, bo orkiestra strażacka gdzieś zgubiła nuty, a potem mecz się nie mógł zacząć, bo ktoś ukradł piłkę, trzeba było czekać, aż sam prezes związku piłki nożnej, major Pukawka, pojedzie do „Olimpiady" kupić nową, a potem mecz się nie mógł skończyć, bo było za ciemno. I chodzą ludzie po ulicach, chodzą, chodzą, nie wiadomo po co. zatrzymajcie takiego i spytajcie dokąd idzie, sam się zdziwi i nie będzie umiał odpowiedzieć. Ot, wyszedł z domu na wystawy popatrzeć, po mieście się rozejrzeć, a nuż się coś zdarzy. A policjant błaga przy narożnikach: „nie na ukos przechodzić, państwo moi mili", a wszyscy na ukos przechodzą. I policjant krzyczy: „nie na ukos, do cholery jasnej. Co to? jak z bydłem trzeba?" A wszyscy na ukos. Więc policjant każe złotówki płacić. A wszyscy na ukos. Nie przez złość, tylko przyzwyczaili się i jakoś zapominają.

A podle lasu Jaguś idzie, dzban malin niesie, a hej dolo, dolo przyśpiewuje, że aż po lesie jęczy i zawodzi, aż to zawodzenie rozchodzi się dalej, hen, przez wioski, pola, łąki, nad miastem się unosi, po ulicach włóczy, do domów przez szyby zagląda, aż się pijany majster zasmęcił i urzędnik przy śniadaniu zapatrzył w suszkę i obrażony palacz załkał pod wierzbą i strażak z orkiestry zapomniał wziąć nuty C, a futboliście zrobiło się żal zagranicznego bramkarza i naumyślnie wycelował piłkę obok bramki.

A Jaguś pod krzyżem przyklękła, o mój Jezu, Jezusicku, a hen dokoła horyzont zielony, niebo błękitne, wieża czerwona kościelna, ą zboże faluje, ktoś w prosie za przepióreczką się ugania, zając przez miedzę skoczył, skowronek wzbił się wysoko, dzban z malinami w rowie, a niech go tam, niech go tam. nie będzie cerwonej sukienecki ze wstążeckami, no to i co? Niechaj będzie pochwalony. Oj dolo, dolo, oj doloz ty moja.

Tak to, tak, moi państwo drodzy, tak to, tak. A ja? Cóż ja w tym wszystkim? Właściwie to, co powiedziałem dotychczas, to tyle samo, cobym i o sobie mówił. To na jedno. Trochę na krzyżu, a trochę pod krzyżem, trochę podle lasu zawodząc oj dolo, dolo, a trochę wałęsając się po ulicach bez celu i na ukos przechodząc. A reszta? Czy to nie wszystko jedno? Jestem tam taki, owaki, to i tamto lubię, a tamtego i owego nie. Posiadam kilka zalet i nieco również wad, czasem jestem wesoły, a kiedy się czymś martwię, smutny. Na świecie da się odnaleźć sporo charakterów podobnych do mojego i nie mniej dużo zupełnie odmiennych. Poza tym szczególnie nie lubię bólu zęba i znacznie lepiej znoszę wszelkie cierpienia moralne. Nie lubię się fotografować, jednakowoż lubię oglądać siebie na zdjęciach. Z tego wysnułem nawet raz w tramwaju myśl filozoficzną, że za rozkosze płaci się cierpieniem. Skoro mowa o tramwajach, to rzeczą szczególnie dla mnie przykrą jest tłok... w ogóle dużo ludzi na raz. Nigdy z tego nic dobrego nie wychodzi..."

Przez chwilę panuje grobowa cisza, wreszcie kłaniam się i mówię skromnie:

— No, to już chyba na tym skończę.

Powstaje pewne zamieszanie. Zrywa się parę oklasków i milknie. Część osób natychmiast opuszcza salę, część wstaje, ociągając się i nie wiedząc, jaką ma przybrać postawę. Przy czym zauważam, że oprócz Maca i Vilberta, którzy rozprawiają o czymś ze wzburzeniem, ludzie nic nie mówią do siebie i nie patrzą sobie w oczy. Jeden Thomson siedzi w dalszym ciągu spokojnie jakby nigdy nic i czyta książkę. Zbieram powoli książki i notatki, przez ten czas sala znagła pustoszeje, jakby ktoś dmuchnął i wymiótł, nie zostaje nikt prócz Thomsona, który założywszy nogę na nogę i przechyliwszy się w krzesełku czyta sobie dalej. Gdy przechodzę obok niego, podnosi na mnie oczy i mówi z uśmiechem: „O, to było bardzo interesujące" i jeszcze w połowie tego zdania wraca oczyma do książki. Sądzę, że on nie tylko nie usłyszał nic z tego co mówiłem, ale nawet nie zdaje sobie sprawy ze wszystkiego, co zaszło. A zresztą diabli go tam wiedzą.

Idę na górę zanieść trzech wieszczów, potem włóczę się po gmachu, żeby stwierdzić nastroje. Sytuacja jest bardzo zabawna. Ludzie wyraźnie unikają mnie. Gdy idę korytarzem, albo odwracają się do okien, albo wchodzą w pierwsze drzwi, jakie mają pod ręką — Vilbert i Mac na mój widok wręcz odwrócili się i uciekli. Gdy zbliżam się do jakiejś rozmawiającej grupki, rozmowa przerywa się natychmiast i wszyscy milcząc patrzą w ziemię. Jeden pan Pociejak zupełnie niespodziewanie podbiegł do mnie i złapał mnie za rękę, potrząsając nią długo z entuzjazmem:

— No, no — mówi — no, no. Sprawił mi pan niespodziankę. Ktoby się to spodziewał, no? Młodzik pan niby, ale rozum swój pan ma. Bardzo się ucieszyłem, naprawdę bardzo ucieszyłem. To było, jak by to powiedzieć, non plus ultra. Trochę się panu wygadać trudno i jąka się pan, ale to było właśnie dobre. Naprawdę: non plus ultra. Te zagraniczne głąby oczywiście nic nie zrozumiały, ale co tam wymagać. (Powiedział to tonem aptekarza z Wroniej, który lekceważy cudzoziemczyznę i w ogóle „parlefranse".) Bardzo to wszystko razem było trafne, bardzo trafne. I powiem panu jeszcze: mnie staremu nawet łzy się w oczach zakręciły, bo mi się jakoś nie wiedzieć czemu moja Wronia ulica przypomniała i dzieciaki, które się bawią w rynsztoku i kocie łby i w ogóle jakoś tak...

I tu znów widocznie łza mu się zakręciła, bo jakoś chyłkiem obciera oczy, a potem mówi: „Eee. Co tu dużo gadać" i całuje się ze mną z dubeltówki głośno cmokając.

No i patrzcie państwo. Któżby mógł się spodziewać, że jednemu, jedynemu panu Pociejakowi to wszystko się spodoba. To był efekt zupełnie nieoczekiwany.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Wezwanie

Do Grecji, przyjacielu jedźmy, gdzie kamienne
wieńce zdobią kolumnom czoła księżycowym
i nad prochami wieków cicho drzemią senne
chochoły epopei, a wiatr igra z dziećmi
u białych stóp tych kolumn. To kiedy gołębie
górą, gdzieś od niechcenia, o porfirów liście
skrzydełkiem ledwie musną, a wraz wszystko szepce:
— Nie budźcie nas ze snu, bo piękny jest sen Grecji! —
Więc tedy, przyjacielu mój, do Grecji jedźmy!...

•

Tam, jeśli krew — to tylko kwiatów rdzawe plamy
do urny z alabastru przyschnięte, a jeśli
gniew — to tylko jak gdyby echo ech dalekich
o ściany złotych zatok odbicie — i wszystko,
a jeśli ból — to ledwie po dawnym wspomnienie.
I takie to w tej Grecji ni życie, ni śnienie.
Więc tedy, przyjacielu mój, do Grecji jedźmy!

Tu, jeśli krew, o Grecjo, — to pełno krwi w ustach
i krew ścieka przez palce, i nikt ciał nie liczy,
i wstaje noc upalna cała w krwawych chustach —
upiorna, i pożarem w oczy sino świeci,
a jeśli gniew — to zaraz tysiąc głosów w harfie
deszczem piorunów siecze po strunach i syczy —
od młota, od kowadła, od kielni i pługa —
i dłoń ogromna nad tym, która struny szarpie.
Więc tedy, przyjacielu, do Grecji, do Grecji!...

Warszawa, 1940 r.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Pod śniegiem

Młodziutki śnieżek przyprószył o świcie. Teraz jest szósta po południu, sypie gęsto, pozlepiany w kłaki. Już go jest grubo, jakby chciał zatrzeć ślady. Gdy podniesiesz głowę do góry, z tej białawej szarości zsuwają się wirując miliardy płatków. Jest dziwnie cicho. Pełno osiada go na rękawach, na brwiach, wciska się z oddechem, tając na wargach. Nie widać dość odległych domów. Słychać tylko jakby westchnienie, to gałąź otrząsając, prostuje się spod ciężaru. Dokoła mimo tej bieli jest gęsta, wilgotna ciemność. Płatki chwiejnym lotem opadają, jedne za drugimi, nieustannie. Przez mgnienie, gdy mijają twarz, rozróżniasz je, potem giną, roztapiając się w grząskiej warstwie mokrego puchu. Od zgaszonej ziemi, od rozprutego nieba wieje smutek.

Adwokat Zicman odwraca głowę od okna. Szklanka, którą obejmuje czyściutkimi, różowymi palcami, sączy ciepło. Po prawej siedzi właściciel willi dr Podwiński, po lewej jego żona Zofia, drobna blondynka — naprzeciw, patrząc mu w oczy natarczywie i oskarżająco — Anna. Niby służąca, a jednak coś lepszego, prawie członek rodziny, wysiedlona z Poznania. Ma czarne, niesforne włosy zczesane do tyłu, ujęte w surowy węzeł.

— Nie wiem, czy pan sobie zdaje... — zaczyna twardo.

— Wiem, wszystko wiem, — przerywa jej błagalnie. Potem wygładza niewidzialne fałdy serwety.

Godzinę temu przypominała pani Zofia — Jak tylko by się pokazał, trzeba mu powiedzieć, niech się wynosi... — Tarła zmarzniętą łapką czoło. — Przecież tu nie ma go gdzie schować.

— Tak, tak, zaraz mu to powiem, — zapewniał doktór Podwiński, podchodząc do okna. Dzień kończył się szaro i bezbarwnie. Chmury wisiały nisko.

— Nie ma się co certolić — mruczała Anna — po co narażać się dla tego Żyda. Jak dotąd go nie ma, to i dalej da sobie bez nas radę.

— Niech ucieka! Niech ucieka! — trzepotała rączkami pani Zofia. Szpilki jej się sypały z cieniutkich płowych włosów, nachylając się szukała ich palcami w ciemności pod stołem.

— Pada śnieg — odzywa się doktór od okna. Na szybie mgława plama oddechu. — Myślę, że on tu już nie wróci, przecież wie, czym to nam grozi...

Ale ze śniegiem, w gęstniejącym, ciemnym zmierzchu, Zicman wsuwa się do sionki. Zanim ściągnął kalosze i otrząsnął futro, Figa, łaciaty mieszaniec szpica, skucząc gardłowo z radości, rzuciła się na niego z łapkami, witając gorąco. Nikt teraz nie śmiał mu powiedzieć — wynoś się!

— Niechże pan wchodzi — odzywa się Anna chropawo, maskując wzruszenie. — Tak dziś ciągnie od pola...

— Czy wszyscy... — zapytał, wycierając twarz chusteczką.

Od razu z gestu ręki, którą wskazywał pokoje na lewo, odgadli, że o tamtych pyta.

— Wszystkich — przytakuje pani Zofia, blednąc nagle — rozumiesz pan, tu za domem.

Trąca palcem w szybę.

Zicman patrzy tępo. Za oknem mroczno od śniegu.

— Łaska boska — wzdycha doktór — wszystko to łaska boska, żeś się pan wymknął.

Pani Zofia kręci się nakrywając do stołu, ale on nie może nic przełknąć, prosi tylko — pić.

— Gdzie pan był dotąd?

— Chodziłem — odpowiada — cały czas chodziłem...

Uszy jego chrząstkowate i odstające zaczynają płonąć.

— Byłem aż za Wapiennikami...

Wodzi bezradnym wzrokiem po pokojach. O tej porze rozbrzmiewały gwarem, stara Honigowa, w kudłatym szlafroczku, przepraszając przemykała się do kuchni. Siostry uczyły się angielskiego lub dokazywały hałaśliwie goniąc się z psem. Łysy mecenas wchodził na krzesło i posuwał wskazówki zegara lub żarliwie wyjaśniał zięciowi katastrofalną sytuację na froncie wschodnim. Potem Henryk zaszedłby do niego, do Zicmana, cichutko i skarżyłby się na tę całą krzykliwą rodzinę, która jego, artystę, tak zamęcza. „Nie mogę ćwiczyć", — pokazuje długie, ruchliwe palce skrzypka, nagle drzwi otwierają się z trzaskiem i z psem jazgocącym z rozkoszy wpada mała Tania.

— Czy Tania też? — pyta bezmyślnie.

— Wszyscy, wszyscy, — szepcze Zofia i nagle przechylając się przez stół krzyczy mu w twarz: — Uciekaj! Słyszysz? Uciekaj!

Zicman sztywnieje. Siedzi wyprostowany. Ręce mu drżą.

— Dajże spokój — szepcze doktór — przecież się nie pali...

Teraz twarz pokrywa mu siateczka drobnych pęknięć, prawie więdnie w tajonym cierpieniu.

— To nerwy — uspokaja go, — to już nerwy odmawiają człowiekowi...

O ósmej, a może wcześniej przyjèdzie wezwany przez Annę znajomy chłop zabrać go do następnej stacji. Nie chce się po miasteczku kręcić, jeszcze by go kto poznał.

— Na szczęście pańskich rzeczy nie tknęli,— mówi doktór — kilka godzin temu kręcili się tu Niemcy, mały policjant zaczynał śledztwo: — „To tu oni mieszkają?" Tak. „Tu? Wszyscy?" Tak, potwierdził doktór. — „A bo Żydy zawsze tak na kupie..." Drugi podchodząc krzyczał: „Cóż to, nie znasz rozporządzenia, parchów tu przechowujesz!" Od razu grozi mu pałką. — To nie był żaden grzech, każdemu mogłem odnająć, zresztą przecież to katolicy. — „Żyd zawsze Żydem będzie, żadna woda takiemu nie pomoże..." Wysoki, rozkroczony Niemiec zawala przejście. Wychodzą już, Honigowa w szlafroku, za nią córki. Ojciec próbuje coś tłumaczyć, rozkładając dłonie, ale Niemiec kopie go z całej siły. Honig opiera się o ścianę, potem otworzywszy usta jakby się dusił, zawisając kurczowo na poręczy, schodzi po stopniach. Brakuje jeszcze zięcia. Jest w łazience. Od razu biją kolbami. Górą za drzwiami szyba pęka i sypie się z jękliwym brzękiem. Haczyk odprysnął, skrzypek wychodzi żółty, jeszcze bardziej chudy w paskowanej pidżamie. Ręcznik ma na szyi i wargi białe od proszku

— Będziesz się draniu krył — ryczy policjant, jakby tym krzykiem i tupaniem zagłuszał w sobie jakieś głosy i podniecał się do okrucieństwa, wali go dwa razy w łeb pałką.

Henryk biegnie przez korytarz skulony, unikając razów, skręca do kuchni.

— Heniu — woła, oglądając się, żona.

— Co chcesz? — pyta cierpko, potrząsając głową jakby czegoś nie pojmował i mrużąc powieki. — No, mówże co chcesz?

Ta ciemnowłosa, pulchna kobietka łapie go za przegub, ściska z całych sił. To, co krzyczą jej oczy, przeszywa go bólem.

— No, dobrze już — wzdycha — no dobrze.

Kładzie wąską dłoń na jej ramieniu. To dotknięcie otwiera w niej nagłą słabość, opiera się o niego i odwracając głowę, zwilżając mu obnażoną szyję rozchylonymi ustami, wybucha spazmatycznym płaczem. Tak obejmując się, najgłębiej pojednani wychodzą na śnieg.

Teraz obaj Niemcy każą ich pilnować „polskim" policjantom, a sami zamykają się w pokoju, przekopując pozostawione rzeczy. Skrzypią szafy, brzęki i śmiech. Potem jeden wychodzi i prosi Annę o szklanki. Ta mu wskazuje na kredens.

Słychać bulgotanie, widać ściągnęli gąsiorek z nalewką na wiśniach i teraz piją.

Ranek jest czysty. Słońce jaskrawe. Iskrzy się okolica przycukrowana świeżym śnieżkiem. Przez niebo odległe i błękitne ciągną się pasma nawet nie obłoków, ale lotnych szronów. Wróble przebiegają stadem, spadają na podwórze, by zaraz odbić się i prysnąć z radosną wrzawą na dach i płoty. Drogą twardo zacierając przesuwają się sanki. Chłopi z tępą ciekawością wpatrują się w stojącą przed domem gromadkę i powoli giną za ubielonymi krzewami.

Tu, w świetle, wobec niewinnej niebieskawej przestrzeni, nie można być tak twardym jak w ciemnym korytarzu. Policjanci odwracają się, drepczą i palą nerwowo papierosy. Ogarnia ich jakby zawstydzenie, widząc, że Henryk drży, jeden z nich idzie na górę po płaszcze.

— Co z nimi będzie? Co oni im zrobią? — szepcze do męża doktorowa.

— Ech, — macha ręką Podwiński. Z tego słonecznego ranka, z nieba pełnego nadziei, jakże szukać złych wróżb. — Ech, nastraszą ich tylko, pokradną trochę i puszczą.

Ale już drzwi się otwierają. Wychodzą Niemcy jeszcze bardziej nabrzmiali, sztywni i czerwoni na twarzach. Wyciągają ciężkie walizy do przedpokoju. Z tamtego pokoju sączy się z dymem papierosowym gorzkawy zapach pestek wiśniowych i alkoholu.

Policjant, jakby wstydząc się swej dobroci, zawraca z naręczem płaszczy, które przerzuca przez poręcz. Tupie na dół wołając — Achtung! Reszta posępniejąc ciska papierosy i patrzy groźnie na wyprowadzonych.

Nagle jeden z Niemców podchodzi do Podwińskiego i pyta poufałym szeptem: — „A gdzie adwokat Zicman?".

— Nie wiem, nie widziałem go dzisiaj — wzrusza ramionami doktór — pewnie zwąchał pismo i zwiał...

— Wohin ist er gegangen? Musisz wiedzieć! — krzyczy — gadaj, bo ja was...

Zaciśniętą pięścią trąca go w brodę.

— O której jadł śniadanie? — zaczyna drugi śledztwo.

— Wcale nie jadł śniadania — woła z kuchni Anna — wyszedł o siódmej.

Ona jedna wie, że dziś jest pierwszy piątek miesiąca. Zicman poszedł na mszę.

— Ach so... — dziwi się Niemiec. Potem jakby przypomniawszy sobie dawną złość, woła — verfluchte Juden!

Wydobywa rewolwer, blask słońca lśni w jego jasnych, pustych oczach.

— Raus, alle raus, — woła.

— Ja nie jestem Żydem, — krzyczy Podwiński.

— Wszyscy, słyszycie, wszyscy, — grozi tamten, jakby go już nie poznawał. Pakuje się do kuchni i wypędza stamtąd Annę. Stąpa twardo, zagarniając ich przed sobą.

Policjant granatowy wyprężony melduje się i pyta, czy może dać Żydom płaszcze. Niemiec ogarnia oczami świeżość przestworzy, z twarzą podaną na słońce, zdrowo rumianą — kiwa przecząco głową, każe mu tylko skoczyć i znieść popakowane walizy.

— Macie być przy tym, — krzyczał Niemiec — musicie widzieć, jak naród niemiecki niszczy wrogów!

Honigowie szli posłusznie za drwalnię, stawali twarzami w słońce. Z dachu, z papy kapało i narastała młodziutka frendzla delikatnych sopli. Byli przygięci, jakby przed czasem nieżywi, zgnieceni wyrokiem przeznaczenia. A jednak w oczach Tani, która raz po raz podnosiła głowę, zaglądając w zrezygnowane twarze rodziców, przyświecało coś jak nadzieja, że to wszystko jest nikczemną komedią, jakimś okrutnym błazeństwem.

Gdy Niemiec podszedł blisko i kazał im odwrócić się tak, że przed oczami mieli tylko warstwę cegieł zlepionych jakąś ziarnistą białością, stara Honigowa zaczęła drżeć i płakać, ze spazmatycznym świstem wciągając powietrze.

Ten krzyk rozjusza Niemca, powoli dźwiga rewolwer. Wszyscy oczyma zawisają na tej czerwonawej pięści, obnażonej dziwnie jaskrawo, w tym wilgotnym świetle, dobywającym każdy szczegół.

— Nie. Nie, ja nie mogę — dusi się pani Zofia. Niemiec zdumiony odwraca się i widząc Annę, która jedną ręką podtrzymuje przerażoną kobietę, drugą, bojąc się jego gniewu, zatyka jej otwarte usta, krzyczy — weg!

Już w kuchni łykając wodę zmieszaną ze łzami, słyszą krótki trzask wystrzałów. Trzy razem, potem jakby zawahanie i dwa. Słysząc te głosy pies rzuca się do drzwi ujadając i drapiąc.

To gdy Henryk zwalił się twarzą na zmarzniętą ziemię, żona jego odwróciła się, z lękiem i błaganiem w oczach. Nie, to nie śmierć napełnia je łzami, to myśl, że głowa jego potoczyła się po obrosłych lodem cegłach. Jakże musiało go to boleć, nachyliła się macierzyńskim gestem, prawie dotykając jego włosów palcami — wtedy Niemiec strzelił jej w skroń.

— My byśmy się tak nie dali, — zaciska pięści doktór. Oburza go ich pokora i uległość. Tak biernie kładą głowy. — My...

Szuka jakiejś myśli, ratunku dla nich teraz, gdy już jest po wszystkim. Wokół niego zaczyna się ruch. Policjanci prawie z ulgą zapalają papierosy. Jeszcze nic nie rozumie, gdy Niemiec podchodzi do niego i każe mu stwierdzić zgon. Gdy przyklęka, ogarnia go chłód, krople ściekając z dachu godzą dotkliwie.

Pięć strzałów, pięć wątłych dymków rozwiało się. Jest tak samo słońce, śnieg iskrzy się, a powietrze z każdą chwilą łagodnieje. Tylko tamtych już nie ma. W tym błękicie bez skazy, w blasku i tającym powoli śniegu roztopiły się ich oddechy, łącząc się z oddechem ziemi.

Pokręcili się jeszcze po podwórzu zaglądając w twarze pomordowanym. Wyższy z Niemców wszedł nawet na górę i poklepał dobrotliwie panią Zofię.

— No, nie trzeba się bać, już po wszystkim, — mówił, przynosząc z żydowskiego pokoju dwie koszule. Wyciągnął je do Anny stulając wargi w figlarny ryjek i mrużąc znacząco oko. Gdy ta odwróciła się obraźliwie, nie oburzył się, gwizdnął tylko i wychodząc pakował bieliznę do kieszeni płaszcza. Drzwi polecił zapieczętować. Doktór jako właściciel mieszkania odpowiadał za wszystko. Gdyby coś zginęło, pójdzie pod sąd, bo spadek po Żydach należy do Rzeszy niemieckiej.

Dorożka czeka dotąd na drodze. Niemcy siadają na tylnym, rozparci, z nogami na walizkach, naprzeciw nich dwóch granatowych, na koźle koło woźnicy trzeci.

— Jeżeli Zicman wróci, natychmiast ma się zgłosić na posterunek policji.

— Natychmiast, — podkreśla drugi, śmiejąc się głośno.

Koń rusza krótkim, szarpiącym kłusem Chwilę potem dwaj granatowi, którzy zostali przy zwłokach, zatrzymują przejeżdżającego chłopa. To on wlecze trupy na wóz, po wierzchu przyrzucając słomą. Częstują się papierosami, otoczeni błękitnawym dymkiem ciągną za tamtymi do miasteczka.

Tuż przed podniesieniem niebo rozjaśnia się nad podziw. Wrzawa ptasia wpada aż tutaj od uchylonych drzwi kościoła. To napełnia mu duszę otuchą. Zicman czuje zleżały zapach ornatu nachylającego się nad nim księdza. Jest to woń wilgoci i pleśni, uderza w mięsiste nozdrza, jakby ferment, niejasne przeczucie przesilenia się długotrwałych mrozów, zimy, a może i czegoś więcej. Kościół jest prawie pusty. Zicman zrywa się, zamaczawszy zgrabiałe palce w ściętej po wierzchu, szkliwem kropielnicy, wychodzi raźnym krokiem w słońce, ostre, podwojone odblaskiem czyściutkiego śniegu.

Chciał teraz unieść w sobie ten spokój, którego istoty nie przenikał. Nastąpiło w nim jakby załagodzenie, zatarcie i zmatowienie cierpienia. I może pierwszy raz nie czuł dotkliwej samotności. Przypominali mu się koledzy i krewni, o których od lat już nie myślał — wszystkie te obrazy nachodziły go nieśmiało, jakby przepraszając za swą natarczywość. Życie powtarzało się snem czystym i klarownym. Od spodu biła w nim skupiona skarga psalmu, przysnuwając wszystko smutkiem, ale tak przyjemnie wzruszającym, jak myśl o przebudzeniu dawnym, o świcie dziecinnym, gdy na wargach jeszcze smak wczorajszych czereśni, a z pyszczka jamnika śpiącego obok pachniało rozkosznym psim niemowlęctwem.

Nie chciał, by mu te chwile zamącono. Nie chciał spotykać nikogo, a zwłaszcza Honigowej, która, choć śpieszy się do kuchni, będzie miała dla niego czas, byle tylko opowiedzieć mu o wróżebnym śnie, w którym dziadek nieboszczyk ukazał datę końca wojny. Ten dziadek ortodoks śnił jej się przynajmniej dwa razy w tygodniu i z jego objawień czerpała zwodną nadzieję. Więc zamiast do domu, skręcił za mur cmentarny.

ARTUR MARIA SWINARSKI

Święcić pożar!

Spadku cierpkiego dziedzicom,
tak nam się dziejów refren układał:
dąb sadzony przez dziada,
wnukowi rósł szubienicą.

Ale że ziemia gotowa
nawet z pługawym żenić się drewnem,
znowu puszcza gałązki śpiewne
pohybłów dąbrowa.

Was ten las wykołysał,
rymy nokturnem upił,
truł jadem trupim,
zmorą do snów zwisał.

Smak chleba i wina
pleśniał w waszych kantatach.
Sęp latał
nad słowem, co przeklina.

Za to, żeście przeszli
jak mór przez miliony;
za naród po rdzeń przetoczony
rakiem waszej pieśni;

za to, żeśmy głodni —
bo któżby cmentarz orał?
za to, że nasz chorał
kazi sadza waszych pochodni;

za krepę na ołtarzach;
za flet wystrugany z piszczeli;
i za to, żeście jeszcze nie zginęli —
dziś was oskarżam.

Was, gady mogił,
świętych wisielców wieszcze.
Jak długo jeszcze? Jak długo jeszcze?
— — Z drogi!

Wbrew szlochowi Derwidów,
żałobnym marszom naprzekór,
traktem, co drzemał od wieków,
idą.

Złoty róg ich nie zbudził —
darmoby czekać!
Na wiernych rzekach
krą stanął grudzień.

Wiosny i wojny
wiedza nieczuła
oręż wykuła —
że idą zbrojni.

W las wkrzyczą zręby.
Gdzie grzebienisko, od kaźni czarne,
wśpiewają się ziarnem —
Waligóry, Wyrwidęby,

przyjaciele uśmiechu,
młodzi.
Kwiecień wschodzi,
zmazanie grzechów.

Ognie strzegą
serc na rozdrożach...
Święcić pożar, święcić pożar
ksiąg pielgrzymstwa polskiego!

ścieżką prowadzącą w pola. Oddychał głęboko wciągając musujące powietrze, pełne pierwszego, nieokreślonego jeszcze, zapachu wilgotniejącej kory i tającego śniegu. Z każdą chwilą robiło się cieplej. Z drzew, z gałęzi odpadały długie pasma szronu, podobne do waty, którą uszczelniamy okna. I nagle cała ta białość okazała się iluzoryczną, śnieg zwiotczał, zwisł, zsiadał się. Gdy Zicman uderzył laską w ubielony zakrzepłą pianą chwast, dobył spod migotliwego srebra ościsty kształt zeschłych ostów.

Te linie ciemniejących wzgórz, wrony przycupnięte z dziobami wbitymi w blask, świadomość tej czerni przypruszonej bielą rozczarowała go. Nagle, czując ciepłe dotknięcie, odwrócił się. Czyżby to werset — „Z głębokości wołałem ku Tobie Panie, Panie...". Podnosi głowę, oczy przemyte świeżością nieba zwilgotniały. Nie wiedział, co w nim góruje — wdzięczność, czy pokorna prośba o miłosierdzie. Zataczając wielkie koło jeżącymi się spod śniegu bruzdami, zbliżył się do toru, gdzie szlaban, sięgając na obłok, widoczny z dala czerwonymi pasami, zagradza drogę.

Z dwóch stron wał trochę wyższy, na nim wierzby w czapach. Tam przesuwa się, bo kół nie dojrzysz, tylko machające łby końskie, dorożka pełna policji. Dwaj Niemcy gadają głośno, aż się niesie po polach. Polacy milczą.

Parę kroków przed nim szlaban zgrzytając i dzwoniąc klang, klang, klang, opuszcza się. Z bloku sygnalizują wjazd. Pociąg ledwie widać, Zicman mógłby jeszcze swobodnie przejść, ale nie śpieszy się nigdzie, staje oparty o barierę.

Ogromne kłęby przybrudzonej dymami pary przewalają się po młodziznach, długo trzymają się w iglastych gałązkach, potem ulatują, kładąc cienie na błyszczące pola. Zanim się pociąg przewalił, widział między wagonami, że po drugiej stronie czeka fura. Siedział na niej policjant, chłop stał przy koniu, małym, kudłatym od zimowej sierści. Minęli go o krok. Wtedy zobaczył wychylające się spod słomy szerokie udo w opadającej pończosze. Przysłaniał je, to obnażał płat brunatnej materii. Szedł jeszcze chwilę, zanim pojął, że jest to noga starej Honigowej. Począł iść szybciej, ukryty za tarniną puścił się biegiem. Czuł w sobie pragnienie ucieczki, byle dalej od miejsca, gdzie się przed nim wynurzyło spod słomy owo cmentarzysko. Czując, że i on mógłby być tam, podrzucany wstrząsami, wieziony chyłkiem pod słomą — ogarnęła go taka trwoga, że wszystkie siły wyciekały z niego jak z rany. Osłabł nagle, zbladł i pokrył się chłodnym potem. Schylił się i bliski zemdlenia skrobnął palcami garść twardego śniegu i czując w ustach jego jałowy smak, uspokajał się powoli. Z pustką w głowie, bez planu zaczął uchodzić znowu w pola. Tymczasem słońce przygasło. Nasuwały się obłoki, z których kurzyło nietrwałym śniegiem. Ale te przejaśnienia były coraz krótsze. Około pierwszej zaciągnęło się na dobre i zaczął padać gruby, wilgotny śnieg, który sypie dotąd.

*

Mógłby wypić herbatę w swoim pokoju, ale chce być z nimi. W całym domu jest cisza. Za oknem wszystkie odgłosy życia tłumi sypiący śnieg. Czuje ich spojrzenia, leniwie pociąga łyczek, wie dobrze o tym, że się niecierpliwią. Zdaje im się, że siedzi godziny całe. Chcieliby go się pozbyć, wypchnąć — zakończyć raz ten lęk i napięcie, z jakim wyczekują jego wyjazdu. Jak zwierzę ranione kluczy długo, zacierając ślady, a jednak w końcu zatoczywszy koło powraca do nory, tak i on zmęczony głodem, zziębnięty i bezradny, zdecydował się przekraść do nich. Choć obcy im przez tę krępującą ufność, staje się bliskim. Wspólny wróg, który im zagraża, jednoczy ich, każe ułatwić mu ucieczkę i we wszystkim pomagać.

Choć woleliby, by to nie trwało długo, nie przeciągało się poza odruch serca, poza tę niecierpliwą dobroć, bo rozsądek, w miarę jak stygną, na widok jego nieporadności, nasuwa im uporczywą myśl o nieuniknionej klęsce. A jeżeli zaczną go przyciskać? Zaczną bić — czy nie sypnie? Ciało jest mdłe, cóż wtedy.. Pani Zofia drży o męża, egoistyczna jest miłość, zmusza ją do wypowiedzenia słów, których zaraz się wstydzi.

— Czy nie mógłby pan gdzie indziej na tę furę poczekać?

— Ależ chętnie, — mówi, — jestem spakowany, tylko gdzie?

— Siedź pan, siadajże pan, — uspokaja go doktór — przecież nikt pana nie pędzi.

— Jest panu tu najbezpieczniej — szepcze Anna.

Pies zwęszywszy, że nic nie użebrze, bo wcale nie jedzą, zaczął się kręcić pod drzwiami, wypuszczają więc go na pole. Głośnym szczekaniem wyraża swą radość, tarzając się i podrzucając pyskiem kłaki śniegu.

Bezpieczny — pewnie, między tymi trzema twarzami, w świetle lampy nad stołem, w znajomym domu. Gdy zamknie oczy i wciągnie powietrze, opar herbaty i zapach pokoju, ogarnia go wzruszenie. Tak, to jest dom. Ta martwa, dławiąca kurtyna trzepotów, mżenie śniegu za oknem — pogłębia w nim wygnanie.

Pociągnął znów łyczek. Jest bezpieczny. Przecież nic mu tu nie grozi. Żeby go ktoś wydał, musi go widzieć. Nie spotkał nikogo. Ech, tej baby nie potrzebuje się bać. Zawsze o zmierzchu przynosiła im mleko, bo rano odbierali na drogach. Odprawił ją przy furtce. Powiedział — „już nie potrzebujemy..." I tak szła do miasta. A jeżeli... Nie ma jeszcze sprecyzowanego podejrzenia, a jednak serce mu wali w piersi. Więc tylko zaciska zęby. W pokoju cicho, powolnie tyka zegar i syczy astmatyczny oddech doktora.

— A co pan zrobi dalej?

— Wyrobię lewe dokumenty i przytaję się gdzie w Krakowie, czy w Warszawie, sam jeszcze nie wiem do kogo zajadę.

Jest prawie wdzięczny, za tę próbę rozmowy, bo milczenie wyłącza go i osacza. Czegoż tak się boję, myśli, ten śnieg... Gdyby nadeszli, nawet nie będzie słychać. Sięga po zegarek. Jest różnica pomiędzy tym dużym w stołowym o dwie minuty. Jest za pięć siódma.

Uderzenia do drzwi kuchennych dudnią głuchym echem w całym domu. Zicman zrywa się, staje za krzesłem, po zbielałych palcach na poręczy można poznać siłę uścisku. Zofia biegnie do męża, oczy jej wyrażają bezgraniczne przywiązanie i lęk. Ona mnie wyda, błyska Zicmanowi, odskakuje. Na korytarzu waha się przechylając się całym ciałem. Jedne drzwi zapieczętowane, wbiega do swego pokoju, a doktór doskakuje z tyłu i przekręca klucz w zamku.

Stoi tak w ciemności, bojąc się poruszyć, by parkiet nie zaskrzypiał. Zdaje mu się, choć wytęża słuch, że poza szumem jednostajnym, o którym myśli — śnieg, nie zdoła nic pochwycić. Twarz, uszy palą go, czuje napływającą krew, jak strugę ognia. Nagle obejmuje całą beznadziejność sytuacji, chłodno i jasno, wie że jest w pułapce, bo w oknie krata. Nie tylko on, ale i tamci, których gościny nadużył. Oni też... Żal mu ich, a jednak znajduje w tej myśli nikczemną ulgę. Teraz ogarnia go wstyd i wściekłe pragnienie męczeństwa. Niech wiedzą, jak umiera Żyd, szepcze, dumnie unosząc głowę. Robi krok naprzód dotykając klamki. Ale drzwi są zamknięte.

Anna najprzytomniejsza chwyciła szklankę Zicmana i postawiła na krześle, zasuwając pod stół, tak że obrus zasłania. Potem otwarła drzwi. Wtoczyli się biali, tupiąc, otrząsali z płaszczy śnieg. Było ich dwu, Niemiec i „granatowy". Teraz dopiero zwęszył ich pies i na dole w sieni ujadał ostro. Anna odwrócona do nich tyłem opuszczała zaciemnienie w oknie.

— Czego tak długo — zapytał granatowy.

— Bo nie mam skrzydeł, — odburknęła.

Niemiec ten sam, który chciał jej podarować koszule Honigowej, porażony nagłym blaskiem, potykając się i klnąc wtoczył się do pokoju.

— Wo ist der Jude? — krzyknął. W chłodzie i w wilgoci, jaką wniósł z pola, czuli ostrą woń alkoholu, obaj byli pijani.

— Dawać Żyda, — poparł go mały, uderzając pięścią w stół. Twarze ich czerwone z powietrza, ociekały topniejącym śniegiem, z brwi i wąsów, jak niezdrowym potem i tłustością. Niemiec opierając się prawą ręką o stół, lewą manipulując niezdarnie odpiął futerał i dobywszy rewolwer powiedział powoli — Gebet den Juden her, oder ich schieß euch tod!

Pani Zofia drgnęła, powoli zwróciła ku niemu głowę, ale nim rozchyliła wargi, doktór kategorycznie zaprzeczył.

— Nie ma tu żadnego Żyda!

Żona patrzała na niego zdumiona i zatrwożona. Stał wyprostowany i wrogi, zdecydowany na wszystko. Stawał od razu tym kłamstwem poza możliwością jakichś układów: już sprawy nie dało się załagodzić.

— Przecież rano wystrzelaliście wszystkich, — popiera go Anna. Usta ma zaciśnięte, dwie krwiste plamy wystąpiły jej na policzkach.

Policjant małpując Niemca także dobył rewolweru i przykładając jej do głowy krzyczał: „A ja wiem, że tu jest..." Potem opuszczając go wyjaśnił: „Spotkaliśmy waszą mleczarkę... Widziała wracającego Zicmana, wszystko wyśpiewała, żebyśmy jej tylko kary nie wsypali. Więc gadać... Gadać, bo i tak go znajdziemy, wtedy i wy pójdziecie" — wskazuje lufą drzwi kuchenne.

— Nie ma go, — mówi doktór z uporem, opierając się o stół. Żona kiwa głową potwierdzająco. Potem ciężko siada zakrywając twarz rękami, nie słychać, ale po drżeniu ramion widać płacz.

— Szukajcie, — mówi doktór, przez zaciśnięte zęby, odwraca się, jakby go ta sprawa już nic nie obchodziła. — Zosiu, woła nawpół gniewnie, potem — Zosiu... — jakby się usprawiedliwiał.

Niemiec otwiera drzwi, wygląda na korytarz. Rewolwer wsuwa do pochwy, świeci latarką. Na jednych drzwiach pieczęcie, więc staje przed drugimi i próbuje klamki. Zamknięte, jednak klucz po tej stronie.

Drugi policjant zbliża się do Anny. Jest w tym powolnym podchodzeniu coś tak złowrogiego, że doktór krzyczy:

— Co pan robisz?!

Tamten jakby przebudzony odwraca głowę.

— Mówcie prawdę, gdzie on się ukrył, to was uratuję. — Czarne oczka świecą mu się bezdenną pychą. — Ja mogę zabić, słyszysz, mogę zabić, — woła z tryumfem, zanurzając lufę w jej włosy, by dotknąć samej czaszki.

— No to zabij raz, krzyczy Anna, — nic więcej nie potrafisz...

Taka pogarda bije z jej oczu, że policjant cofa się o krok.

— Ja wiem, woła, że go tu nie ma, dawaj klucze od drwalni..:

Idzie za nim wstępując w czarną, wilgotną sień, rozjaśnioną u dołu śniegiem, którym nawiało przez próg, słyszy jak powtarza upajając się: „a zabić i tak mogę, jak zechcę to zabiję..." A może jest zadowolona, że go wywabia na podwórze. Teraz dopiero odczuła podwójną samotność Zicmana. Od rodaków oddzieliła go religia, współwyznawców odpycha rasa. Właśnie naprzekór wszystkim stanie przy nim. Prócz wspólnej wiary, nienawiść do Niemców wzmacnia jednoczące ich ogniwa. Wyszli. Wita ich jazgot psa. Potem trzaskają drzwi. Jest cicho.

Zicman stojąc w ciemności słyszy wyraźnie ich głosy. Teraz gdy Niemiec jest z jednej strony, gdy słyszy jego oddech, nieledwie czuje na sobie jego wzrok przez cienkie deski, zgrzyta obracany klucz, dźwignięty falą nieludzkiego jęku, bojąc się zemdleć tu za progiem, uskakuje w bok, wciska się w ścianę. Pod mokrymi od potu palcami gładki kant szafy. Z niesłychaną jasnością wie, że są to jego ostatnie minuty. Za moment on będzie trupem i swoją obecnością niesie śmierć tamtym. Myśli o swym tchórzostwie z pogardą i goryczą. Nagle jak oślepiony pochyla twarz. Zapala się w nim modlitwa pełna rozpaczliwego błagania. Drzwi otwierają się, kraj ich uderza o szafę. Zicman czuje to uderzenie całym ciałem. Biała smuga latarki omiata pokój.

Doktór widzi, jak tamten sięgając po rewolwer krzyczy chrapliwie — raus!

Odpowiada mu milczenie.

Zanim zrobił krok naprzód, za oknem słychać jeden strzał, potem drugi.

— Zabił Annę — szepcze doktór.

Niemiec odwraca się, twarz mu rozjaśnia uśmiech. Podnosi rewolwer w górę i przebiegając pokój w dwóch skokach — woła — Er hat schon genug! Doktór wypada za nim. Słysząc głos męża, doktorowa wstaje i pozbawiona nagle sił, czepiając się mebli, jak ślepa wlecze się do kuchni.

Doktór wytęża wzrok. Płatki puchu zasypują mu oczy. Pod drwalnią majaczą jakieś postacie.

— Anno, — woła przejęty grozą, — Anno!

— Jestem tu, — odpowiada z ciemności. — Teraz już dobywa ją światło latarki, którą trzyma nad nią pochylony Niemiec. Anna klęczy nad buchającym ciepłą krwią przestrzelonym psem.

— Zabił go, to zwierzę, — krzyczy wściekła. Wstaje gwałtownie, idąc prosto na policjanta.

— Przecież sama mówiłaś, że to żydowski pies, — mówi cofając się do tyłu.

Niemiec oświetla go latarką i śmieje się głośno.

— Ja, ja, dieser jüdische Hund muss krepieren...

Potem obaj, ujmując się pod ramiona, zamiast do domu — idą w stronę furtki.

Anna bierze psa do fartucha. Krwi już nie widać, śnieg zakrywa wszystko. Płacząc wraca do domu.

— Żyjesz Anno, żyjesz, — szepcze doktorowa dotykając jej ramienia. Nagle z korytarza otwierają się drzwi i wychodzi z nich Zicman — zielony, postarzały, staje na progu mrugając powiekami.

— Już poszli, — mówi doktór ciężko.

— Ten pies pana ocalił, — woła Anna podnosząc ciężki fartuch.

— Nie, nie, — woła Zicman, teraz pojmując. Łapie doktora za rękę, reszta idzie za nim jak urzeczona.

— Ja tu stałem, on tu... I właśnie wtedy poczułem — to jeszcze nie twoja godzina, będziesz ocalony... Odwlekło się... Tylko odwlekło się...

Odwrócił się powoli i łapiąc doktora za klapy, opierając mu głowę o ramię wybucha strasznym płaczem.

Gdy w kwadrans potem zajeżdżają zamówione sanie, ładują walizy. Słoma siedzenia jest mokra od śniegu, który nie przestaje padać. Sanie, chłop ubielony, tylko konie dymią i pachną ostro, utrudzone nieprzetartą drogą. Zebrani przed domem ściskają mu dłonie, prawą i lewą, obandażowaną, zgniecioną drzwiami. Doktór robi znak krzyża. Sanie ruszają niknąc nagle, jakby zsunęły się w jeszcze głębszą ciemność. Dzwonek ledwo zakołatał, już zgasł. Śnieg niestrudzenie sypie, gruby, gęsty — już go jest po kolana.

Kraków, 1943

Konferencja Krymska. Na zdjęciu przy okrągłym stole: Stalin, Roosevelt, Churchill, Mołotow, Wyszyński, Gromyko, Majski, Stettinius, Harriman, Hopkins, Matthews, Leahy, Eden, Kerr, Cadogan i inni.

JAN KOTT

Powrót do rzeczywistości w poezji

... Wy, których usta ustom Boga podobne,
Usta, które są samym porządkiem,
Bądźcie łagodni, kiedy nas porównujecie
Z tymi, co byli doskonałością porządku,
Nas, którzy wszędzie szukamy przygody.
Litości dla nas, którzy zawsze na granicach
Przyszłości i nieograniczonego walczymy.
Litości za nasze błędy, litości za nasze grzechy.

Apollinaire (1919).

Dadaizm, futuryzm i nadrealizm nie były to jedyne ekstremistyczne ruchy artystyczne, jakie powstały na Zachodzie pod koniec pierwszej wojny światowej lub w latach bezpośrednio po niej następujących. Obok nich wyliczyć można bez trudu jeszcze dobry tuzin innych „izmów", które trwały dłużej lub krócej, zdobyły mniejszą czy większą popularność. Należą do nich zarówno polscy „neofuturzy", jak i późniejsza krakowska awangarda. Wszystkie te ruchy bez względu na to, czy wywodziły się z przygody duchowej Rimbauda, czy też hołdowały raczej mitom poezji czystej, głosiły konieczność natychmiastowej, gwałtownej i całkowitej rewolucji artystycznej. Dziś, kiedy czas zatarł indywidualne różnice, z manifestów, programów i praktyki artystycznej odczytujemy wszędzie tę samą pogardę dla tradycji, kult nowości, uprawnienie eksperymentu. I rzecz ciekawa, że nawet te prądy ekstremistyczne, które broniły — jak kubizm czy puryzm, — autonomicznej konwencji artystycznej odwoływały się zawsze do pozaestetycznej motywacji przemian, jakie mają nastąpić w sztuce. „Walczymy na granicach nieoznaczonego i przyszłości" — pisał Apollinaire w ostatnim wierszu przed śmiercią. Nowa sztuka miała być wyrazem nie tylko pragnień, uczuć i dążeń nowego człowieka, miała jego zmienić, wychować i przekształcić. Apostołowie nowej sztuki uznawali ją za coś pośredniego pomiędzy eschatologią a nowym objawieniem.

Wszystko to należy do przeszłości. Można już dziś z całą pewnością stwierdzić, że obecna wojna nie zrodzi fali ekstremistycznych ruchów artystycznych. Sądzę, że już obecnie można przewidzieć, że poezja, a wraz z nią i cała literatura po wojnie (poezja jest przecież zarówno laboratorium jak i sejsmografem przemian literackich), wysunie jako naczelne hasło troskę porządkującą, że od przygody duchowej powróci w świat społecznych wartości. Odwrót nie tylko od eksperymentowania, ale również od przeceniania wartości formalnych, od problemu technik artystycznych wydaje się rzeczą pewną. Nowa literatura, sądzić można, nawiąże do tradycji i to do tradycji sztuki wielkiej, sztuki w epokach jej rozkwitu. Antyrealizm był najbardziej istotną cechą poezji po tamtej wojnie, powrót do rzeczywistości i nowy realizm będzie może znamieniem powstającej obecnie literatury. Będzie prawdopodobnie dążyła do odbudowania pojęcia człowieka, do pokazania, jak na prawdę wygląda świat, jak żyją i jak powinni żyć ludzie. Należy jednak przypuszczać, że zarówno zainteresowanie literaturą, jak i zaufanie do niej będzie znacznie mniejsze niż po tamtej wojnie. Społeczna i ideowa pozycja literatury ulegnie prawdopodobnie dalszemu osłabieniu. Nie należy spodziewać się, aby oczekiwano od pisarzy nowych koncepcyj życia, od poetów — nowego objawienia, od powieściopisarzy — nowych zasad moralności. Romantyczne pojęcie poety jako duchowego wodza i sumienia narodu zostało definitywnie pogrzebane.

Dla przyszłego historyka literatury jednym z najciekawszych zagadnień stanie się może odpowiedź na pytanie, czemu należy przypisać całkowitą przeciwstawność ideologii literackich po tej i po tamtej wojnie? Jak wyjaśnić przypływ i odpływ fali nowatorstwa i ekstremizmu artystycznego? Nie sądzę, aby można było już dziś na te pytania w zupełności odpowiedzieć. Z pewnych jednak przyczyn zaczynamy już sobie zdawać sprawę.

Pierwsza wojna przyszła po okresie stosunkowo długiej, bo trwającej przez dwa pokolenia stabilizacji społecznych i gospodarczych warunków życia. Stabilizacji oczywiście względnej, silniejszej w Europie zachodniej niż wschodniej, o wiele bardziej dotyczącej mieszczaństwa, niż innych klas społecznych. Młody człowiek, wstępując przed tamtą wojną na posadę, przewidywać mógł z dużą dozą prawdopodobieństwa nie tylko stanowisko, do jakiego dojdzie, ale i wysokość emerytury, jaką otrzyma po trzydziestu latach. Finansiści, inwestując kapitały i zakładając nowe przedsiębiorstwa, godzili się z myślą, że zamortyzują się one dopiero po upływie pięćdziesięciu czy siedemdziesięciu lat. Zmiany pojęć moralnych i sposobów życia przebiegały dostatecznie wolno, aby nie budzić poważniejszych wątpliwości o słuszności istnienia samych zasad. Pierwsza wojna światowa wykazała całą kruchość pozornej stabilizacji mieszczańskiej Europy. Przez cztery lata oduczała większość ludzi od najbardziej zakorzenionej ze wszystkich zasad — zasady przewidywania przyszłości. Wojna była nie tylko dla wszystkich, którzy brali w niej udział, największą przygodą w życiu, była jednocześnie uroczystą, społeczną konsekracją i legalizacją idei przygody, idei awantury. Awantury politycznej, awantury gospodarczej, awantury moralnej. Wojna wzbudziła nienawiść do kultury, która ją wydała, do spokojnej i zdawałoby się bezpiecznej fasady, za którą ukrywa się wielka niespodzianka. Ekstremistyczne ruchy artystyczne postawiły sobie za zadanie zburzenie fasady, resztek porządku i ładu, które tkwiły w przyzwyczajeniach intelektualnych, zasadach estetycznych, konwencjach sztuki. Jeżeli dążyły przede wszystkim do zburzenia form, to dlatego, że formy uosabiały ład, który był już tylko pozorem i przestał spełniać swoje zadanie.

W szkicu **„Chimera jako zwierzę pociągowe"**, Jerzy Stempowski analizuje na pół serio przyczyny, które spowodowały, że futuryzm i nadrealizm znalazł pierwszych gorących zwolenników w środowisku wielkiej finansjery. W okresie, kiedy państwa odmówiły płacenia długów, a raptowne zwyżki i zniżki walorów i akcyj zawisły od porozumienia paru potentatów, finansiści uznali, że najlepszą publiczność giełdową wychować mogą futuryści i nadrealiści. Tylko czytelnik Marinettiego i Tzary, sądzili nie bez pewnej słuszności, gotów będzie pójść na awanturniczą spekulację giełdową i oddać swoje oszczędności za pakiet akcji, które w ciągu paru dni mogą mu przynieść miliony lub okazać się pozbawione wszelkiej wartości. Ekstremistyczne ruchy artystyczne były próbą doprowadzenia do ostatecznych konsekwencji, wyczerpania aż do dna idei chaosu, eksperymentu i przygody, których obrazem mimo wszystko jeszcze niedoskonałym i niepełnym stała się powojenna Europa. I dlatego najbardziej ze wszystkich był konsekwentny futuryzm włoski, który przystał do faszyzmu.

Dla pokolenia następnego, które kończyło szkoły i uniwersytety w latach międzywojennych, nowa wojna światowa nie była niespodzianką. Z ideą wojny, z przeświadczeniem, że musi ona nastąpić, że nie da jej się uniknąć, pokolenie to było oswojone od dzieciństwa. Wybuch wojny nie tylko pokolenia tego nie zaskoczył, ale również nie obudził protestu wobec kultury, która ją wydała. Oskarżenie było tym razem podjęte o wiele lat wcześniej. Pokolenie międzywojenne wyrastało w przekonaniu, że warunki społeczne, gospodarcze i polityczne, w jakich żyło, nie tylko nie mają żadnych szans trwałości, ale powinny ulec zmianie, ponieważ są złe i bezsensowne. W ekstremiźmie artystycznym najmłodsza generacja literacka, zarówno na zachodzie, jak i u nas, odnajdywała wyraz własnej pogardy dla rzeczywistości, stopniowo tylko nadawała mu ton coraz bardziej tragiczny, aby wreszcie w przeddzień nowej wojny wyrazić w katastrofizmie swoją absolutną bezradność i niemoc.

Pokolenie to weszło w wojnę z zasobem doświadczeń, uczuć i przekonań, do którego ich poprzednicy sprzed lat dwudziestu pięciu doszli dopiero po demobilizacji. Wojna obecna w znacznie silniejszym stopniu niż poprzednia zmienia warunki życia, zmienia wszystkich, którzy biorą w niej udział. Tym razem rzeczywistość prześcignęła najśmielsze marzenia nadrealistów. Idee chaosu, absurdu i eksperymentu zostały w praktyce państw faszystowskich doprowadzone do ostatecznych konsekwencyj, zostały wyczerpane do dna. Doświadczenie miało jednak odmienny przebieg niż poprzednie. Wojna obecna z niesłychaną jasnością wykazała, że każda ucieczka od rzeczywistości, każde odejście od surowej prawdy faktów zarówno na grupach społecznych, jak i na całych narodach mści się w sposób okrutny i straszny. Wojna stała się wielką, historyczną próbą wartości wszystkich mitologii i wszystkich mistyk — narodowych, gospodarczych, społecznych. Wojna skończy się ich zupełną klęską, wojna skończy się bankructwem wszystkich mistyk. Okazało się, że w życiu społecznym obowiązują rygory równie ścisłe, jak w nauce — rygor prawdy i rygor postępu, że każde sprzeniewierzenie się tym rygorom przynosi klęskę lub śmierć. Okazało się, że historia ma sens, że zwyciężają tylko te narody, które rygorom tym podporządkowały swoje życie społeczne. Wynik wojny stanie się wielkim zwycięstwem realizmu i to realizmu nie tylko politycznego, ale realizmu w znaczeniu najgłębszym, w znaczeniu, jakie mu daje filozofia — poznawalności świata, obiektywności naukowego poznania, łączności teorii z praktyką.

Ekstremistyczne ruchy artystyczne były po pierwszej wojnie wyrazem powszechnej niewiary mieszczaństwa i intelektualistów Zachodu w możność, sens i pożytek racjonalnego poznania i kształtowania warunków życia społecznego. Doświadczenie drugiej wojny światowej niewierze tej położy kres. Zwycięstwo realizmu w życiu społecznym zadecyduje niewątpliwie o charakterze przemian literackich.

STEFAN OTWINOWSKI

Ucieczka inżyniera Pruta

Już pierwszego dnia była możliwość ucieczki. Druga, jeszcze nieogrodzona część obozu posiadała kładkę przez strumień do wsi. Obóz leżał w widłach dwóch strumieni. Kładka prowadziła do kuchni obozowej. W kuchni były normalne, ludzkie drzwi na wolność. W tej chałupie właśnie zaraz pierwszego dnia poznałem Pruta. Jego czysta, łagodna uroda Słowianina zrobiła na mnie od razu wrażenie... Któryś ze starszych posłał mnie do kuchni z wiadrem po kawę. Przeszedłem przez kładkę. Po przejściu zatrzymał mnie na chwilę ładny widok okolicy. Na prawo leżał staw z wysepką i figurą świętego w środku wysepki, wprost za wsią kościółek wiejski, na horyzoncie, na lewo, w końcu wsi, stała duża kuźnia — za kuźnią w lasku łączyły się dwa strumienie, z których jeden tak jakby początek swój brał właśnie ze stawu. Gdy stałem, wchłaniając oczyma niedostępną inaczej przestrzeń, podszedł do mnie człowiek o jasnym, łagodnym spojrzeniu i tak, jak każdy zwraca się do nowicjusza, huknął: Prędzej, prędzej, trzeba zawsze udawać, że się coś robi. Powiedział to w samą porę, bo właśnie z tylnych drzwi chałupy wyszedł gestapowiec Roll — zdążyłem go już poznać w pierwszym etapie — spojrzał na mnie tym wzrokiem, który znaczy początek furii, zaczepisz go spojrzeniem, a zacznie bić. Ile razy uchwycił w oczach więźnia tęsknotę do wolności — kopał, bił, wpadał w szał, który — mogłoby się zdawać — był paroksyzmem niezadowolenia z własnej sytuacji. Wtedy uratował mnie Prut. W ten sposób zawiązała się nasza przyjaźń, tak szybko, po ludzku, jak to możliwe jest tylko w takich warunkach.

W kuchni powiedział mi o sobie: nazywa się Prut, jest inżynierem, w Kielcach zostawił młodą żonę i pięcioletnią córeczkę — złapali go tydzień temu, martwi się o dom, w którym mękę niepewności o jego los przeżywa nie tylko żona, ale i matka staruszka, chora na serce.

W świetlicy za kuchnią stały dwa długie stoły, przy których jadała załoga obozu. W kącie izby stały dwie miotły. Wziąłem jedną z nich, żeby dłużej pobyć w atmosferze zwykłego ludzkiego życia. Nad garnuszkiem po marmeladzie fruwały trzy osy. W pewnej chwili wszedł do izby Prut już po raz drugi, zatrzymał wzrok na drzwiach: — Te drzwi prowadzą na drogę... Domyślałem się tego. — Gdyby nie to — dokończył — że skoro się stąd wyjdzie, wcale nie wiadomo czy nie trafi się gdzieś jeszcze gorzej... Ale ciągle patrzył na drzwi. Nie bez lęku kontrolowałem zrazu ten wzrok: ucieknie? Furia Rolla spadłaby przede wszystkim na mnie. Uciekać? Sam nie mogłem jeszcze przyjąć tej propozycji, zmaltretowany wstępnym etapem. Nie znałem jeszcze smaku drugiego okresu. Tak z punktu prowokować los — nie miałem na to odwagi. Narazie wypadało przyjąć tylko pierwszą wiadomość o możliwości ucieczki, zatrzymać ją jako budulec dla przyszłej realizacji. Zamiatałem izbę.

— Niech pan pracuje wolno — powiedział Prut. — Zamiatanie to najlżejsza czynność i czynność, która się im podoba. Lubią czystość.

Zamiatałem więc powoli, potem już i miejsca zupełnie wysprzątane. Osy unosiły się ciągle nad słodkim garnuszkiem. Żeby zrobić porządek i gdzieindziej, — zbliżyłem koniec miotły do fruwającej osy. Zduszę.

— A pan chciałby żyć, co?

Co znaczy ta uwaga, która mnie zrazu zawstydziła? Że co? Że obowiązuje nas solidarność wobec życia wogóle? Jest to protest wobec tamtej strony, która zabija? Czy może nowy typ przesądu? Przyjrzałem się Prutowi jeszcze uważniej. Łagodny, naprawdę miękki człowiek. Nie ucieknie teraz... Wogóle niepewny towarzysz ryzyka, które przecież miałem na myśli, a które on miał już teraz przed wzrokiem.

Nie uciekł tego dnia.

Potem przyszły dni trudnej pracy na niedokończonych terenach obozu. Inżynier Prut kierował robotami. Wśród robotników tylko my dwaj nie byliśmy zwykłymi robotnikami. Jego sytuacja była wyjątkowa. Mógł mi ułatwić pracę — to nas do siebie zbliżyło. W barakach spaliśmy obok siebie pod opieką cwaniaków warszawskich i kieleckich. Jego cenili jako łagodnego szefa, mnie za opowiadania, które były jedyną rozrywką obozu.

Minął tydzień i budowa na dodatkowych terenach była skończona. Wożono nas z kolei do lasu po gałęzie, które miały maskować nowopowstałą, gładką i dziwną wioskę. W lesie Prut po raz drugi wspomniał mi o ucieczce. Ale już wtedy wiedziałem, że nie pójdzie mu to łatwo — kto wie — popsuje mi mój plan, zapeszy... Pracowaliśmy w pięknym sosnowym lesie. Z drugiej polany, gdzie drzewa się przerzedzały, widać było kościółek na wzgórzu — już blisko. Po trakcie opodal przejeżdżały furmanki. Wolność mieszała swoje sfery w pięknym, październikowym słońcu. Prut stał teraz na skraju lasu i patrzył. Łagodnym spojrzeniem oglądał pola, jak swoje. Dopiero po jakichś dziesięciu minutach podszedł do niego Roll i zaszczekał jak pies, który broni swego jadła. Kiedyśmy odjeżdżali do obozu, wiedziałem: zmarnowana jeszcze jedna okazja. Dlaczego trzymam się tego człowieka?

Na drugi dzień z tego samego lasu uciekło trzech kieleckich spryciarzy. Okoliczni chłopi dawali kierunek do swoich batalionów. Mimo więc, że nikt z nas nie miał przy sobie żadnych dokumentów, po wyjściu z terenu obozu była dla każdego przystań.

Zbliżyłem się w następnym tygodniu do chłopaka zza Ludyni, który znał dobrze okolicę i wiedział czego chce. Ale trudno mi było jeszcze zerwać kontakt z Prutem — i chłopak uciekł beze mnie w dwa dni później — szczęśliwie.

Ponieważ coraz częściej zdarzały się wypadki „urywania się" z obozu, komenda postanowiła dać jeszcze drugi krąg zasieków. Prut nie miał już żadnych względów w tej pracy. Ciągnęliśmy niekończące się kłęby drutów kolczastych, które bardzo niechętnie ustępowały z więzów. Praca nam nie szła. Pot wystąpił na czoło mego towarzysza tak rzęsiście, że nie zdziwiłem się, kiedy powiedział nareszcie stanowczo: — Teraz już napewno przy najbliższej okazji... Zjawił się, jak spod ziemi untersturmführer Roll: — Coś tu znowu spiskujecie... Jużby reszty szczekania nie zrozumiał człowiek przytomny. Świeczki stanęły mi w oczach. Świat zatoczył się i zobaczyłem niebo. Prut leżał obok mnie, elegancki but hitlerowca nie pozwalał nam się podnieść. Podrę sobie — pomyślałem — ubranie, i jak uciekać w napiętnowanej odzieży. Prut dostał teraz butem prosto w twarz. — Dosyć bratku — przeszło mi przez głowę. Ale co zrobię? Krzyczał, żeby wstać. Żadna siła nie podniosłaby mnie teraz z ziemi; trzymała na trawie bezsilność, mocniejsza od strachu i bólu. Kopał w ataku nowej furii. Ale mnie zdawało się, że jestem już gdzieś poza tym, na huśtawce, wśród latawców, nad kościółkiem ze wzgórza, do którego razem z Prutem tęskniliśmy.

Na drugi dzień była niedziela. Prut poszedł, jak kiedyś ja — z wiadrem po kawę do kuchni i nie wrócił. Już przyjaciele z baraku mówili między sobą, zerkając w moją stronę. Zdradził mnie. Do obiadu miałem w sobie ten głupi, niewyraźny stan: oszukał innie człowiek, który nie chciał śmierci osy... Nie, nie oszukał, to tylko ja najmiększy z miękkich dobrowolnie pójdę na zagładę. Od jutra zaczynamy pracę w kamieniołomach... Około południa pod obóz przyjechała bryczka, w niej jakieś miejskie panie. To pani Prutowa dowiedziała się wreszcie gdzie trzymają zaginionego męża. Ale właśnie męża już nie było. Koledzy delegowali mnie do przyjęcia gości. Chwilę rozmawiałem przez druty, potem podały mi prowiant, przywieziony dla Pruta: duży placek, bochenek białego chleba, krąg kiełbasy. Nigdy w życiu nie zjadłem tyle placka, nigdy nie miałem tak spokojnych snów. Na drugi dzień zdawało mi się, że mój rachunek z Prutem został załatwiony ostatecznie. Nikt już nie będzie oceniał mojego ryzyka — teraz dam sobie radę na pewno.

W czasie poniedziałkowego apelu Roll wywołał trzech ludzi z szeregu. Potem chwycił oczami mój wzrok — wszyscy po raz pierwszy usłyszeli jego dobry polski akcent:

— Aha, to jeszcze pan... To pan lubi wolność, prawda?

Milczałem.

— No, co? Lubi pan wolność?

Podszedł jeszcze bliżej do mnie. Wytrzymać razy aż tak publicznie? Jak każdy człowiek.

— Pojedzie pan z nami.

Powieźli nas w stronę Ludyni. Gdy skończył się las, kościółek na wzgórzu był tuż. We wsi dołączono do naszej grupy kilku chłopów z łopatami. W sumie było nas i tak za mało do kopania rowów — o co mogło chodzić? Z tyłu, za nami, szedł Roll i dwóch żandarmów. Szli, rozmawiając głośno, wesoło — można było skorzystać z okazji i wybadać wolnych chłopów.

— Wczoraj był u nas mały bój — mówił jeden z nich. — Uciekło czterech chłopaków z Krasocina, rozbili ich za stodołą, tam pod lasem. Teraz na pewno idziemy grzebać.

— Czterech chłopaków?

— Tak, i piąty inżynier z Kielc. Znał okolicę, przyszedł do mnie. Siedzieliśmy na ławce przed domem. Gdyby się nie spłoszył i nie pobiegł razem z chłopakami, możeby mu i nic nie zrobili. Nerwowy człowiek. I dobry, muchy by nie zabił — a jego zatłukli jak psa. Dobili kolbami, batami. Zobaczą panowie...

Kończyła się wieś. Za ostatnią stodołą rozpoczynał się najpierw mały, potem prawdziwy las. Tutaj między stodołą a lasem leżeli chłopcy a wśród nich Prut. Tak. Przyszliśmy kopać im miejsce wiecznego zabliźnienia. Roll tylko przez chwilę kontrolował naszą pracę: obraz, który mieliśmy przed sobą mógł zastąpić wszelki inny terror. Poszedł, pogwizdując, do wsi. Żandarmi rozmawiali odwróceni plecami do trupów. Trzeba działać szybko. Zbliżyłem się do jednego z nich z prośbą, żeby mi pozwolił zerwać trochę świerków, chcemy udekorować grób towarzyszom. Zgodził się.

Kul nie trzeba brać nigdy do siebie. Więcej jest powietrza, aniżeli nas. Przed nami musi być tylko cel i wolność! Udało się.

JERZY BROSZKIEWICZ

Monika

Wanda siedziała naprzeciw mnie — światła już w mieście zabrakło — i płomyki świec chwiały się niepewnie. W kątach pokoju gęstniał cień, twarz Wandy była nieuchwytna, dosyć daleka i chwilami obca; jej ciemne, teraz bardzo czarne włosy lśniły metalicznie, ale rysy gubiły się, wymykały się mimowolnej kontroli mego wzroku. I — o ile sobie przypominam — czuło się raczej niż słyszało gdzieś bardzo daleko, stłumione dudnienie artylerii.

Słuchaliśmy w milczeniu — każdy sobie — tych wieczornych niepokojów. Uważałem, że było to milczenie godne uwagi i podtrzymania.

Ale Wanda wsparłszy twarz na dłoniach pochyliła się nad stołem. Spytała:

— Posłuchasz?

I ja — choć wpierw może trochę nieszczerze — ucieszyłem się. Skinąłem głową z aprobatą, po chwili nawet z prośbą w nikłym uśmiechu.

Jeszcze chwilę słuchałem zziębniętego za oknami wiatru, a Wanda zapalając papierosa uczyniła ze swych dłoni różową konchę. Potem spojrzała na mnie z uwagą: czy słucham. Skinąłem głową.

„To było czwartego, tak, czwartego kwietnia. No i... zbudziło mnie walenie do drzwi. A dzwonek? Zdawało się że dzwonił całą noc; przebudzenie jak po niezapamiętanym a niedobrym śnie: z ciężką głową i mokrymi dłońmi, z rozkołysanym sercem i brakiem oddechu. Pamiętam wszystko świetnie; zawołałam „gestapo" i Józek, mąż, odpowiedział spokojnie „tak". A potem powtórzył trochę ciszej „na pewno tak". W pokoju było jeszcze całkiem ciemno, tylko wokół zasłon na okna mgliło się światło wczesnego ranka. Więc żeby przerwać tę zmorę, walenie do drzwi i wrzask dzwonka, wyskoczyłam z łóżka i podniosłam zasłony: zdawało mi się, że jasność w jakiś sposób nas uratuje... Wtedy właśnie matka otworzyła im drzwi. Nie wiem czy znasz to: stąpania podkutych butów w przedpokoju, chrzęst pasów i karabinów".

Przesunęła zmęczonym ruchem dłonie po twarzy.

„Weszło ich trzech. Jak to oni: wysokie draby, krzyk jak na mustrze i uparcie powtarzane los, los, looos. Ubrałam się szybko a z rozwagą, pamiętałam, że do więzienia trzeba wziąć ze sobą ciepło z domu. Więc: sweter, golf, skarpety narciarskie. Ale sznurując buty spojrzałam na Józka: był bardzo blady i z nastroszoną nad czołem czupryną wyglądał jak mały, przestraszony chłopak. Ubierał się byle jak i ociężale. Usta skrzywił pogardliwie i patrzył się na tych trzech obojętnie, ale ja nagle zaczęłam się trząść. I właściwie nie ze strachu. Nie...

Ale... po prostu przypomniałam sobie, że wtedy rozstrzeliwano co kilka dni, zwyczajnie: ludzi zabranych z domu, z ulicy, z tramwaju. Na chodnikach leżały wieńce i paliły się świece. Więc po co ubieram się tak ciepło? Jeszcze ważny portfel wsunęłam na piersi i już zapinaliśmy płaszcze. Z matką pożegnaliśmy się szybko: uśmiechnęła się zza okularów, mnie związała szalik, Józka pocałowała ukradkiem w nachylone czoło. Ukradkiem, bo nie uznaje takich rzeczy. Gdy schodziliśmy po schodach, zawołała od drzwi: „wracajcie prędko".

Na dworze, jak to w kwietniu: niebo nasiąkłe deszczem i wilgotne zimno, chodniki śliskie, mokre; a wszystko szare prócz błota. Więc szare niebo, ludzie, kamienice, zamknięte okna i nawet niebieskie oczy Józka też poszarzały. Wiesz... takie zwykłe, zakisłe przedwiośnie, którego ja zresztą niecierpię, i to w dodatku o pół do siódmej rano, kiedy miasto jeszcze drzemie w zimnie i mgle.

Szliśmy szpalerem, dosłownie: szpalerem policji i SS-manów. Zapytałam Józka: „jak myślisz, koniec?". Spojrzał na mnie bardzo uważnie, ale powiedział lekceważąco „całkiem możliwe" — tylko ujął mnie za ramię i poszliśmy pod rękę. Była to masówka. Przed nami i za nami szli szpalerem obciśniętych mundurów i wysokich butów inni ludzie. Dużo młodych. Kiwnęłam ręką jakiejś nieznanej, przerażonej twarzy za oknem, by sobie i temu komuś dodać — jak to się mówi — kontenansu.

Minęliśmy jedną, drugą i trzecią ulicę. I ciągle ten szpaler jak na paradzie sztywny i pełen takiego „drillu", że Józek zaczął się w końcu podśmiechiwać i mruczeć jakieś głupstwa pod nosem. Niemcy mieli ponure i zaspane twarze, spojrzenia widzące lecz tak puste, jak na bardzo złych fotografiach. Ale gdy wyszliśmy na plac a raczej na puste podmiejskie pole: niby to hałda a niby śmietnik, spoważnieliśmy i tylko spojrzeniami (szybko, ukradkiem) poszukaliśmy wykopanych dołów, łopat i rydli. Nie było. Czułam, że Józek westchnął niedosłyszalnie, ale po swoim oddechu wiedziałam dobrze, ile kolosalnej ulgi mieściło się w tym westchnieniu.

Wtedy właśnie poznałam Monikę.

Zapędzono nas do grupki ludzi stojących w małej kotlince między dwoma stertami wielkomiejskich śmieci. I nim spojrzałam na nich, zauważyłam wśród popiołu, papierów i potłuczonych butelek emaliowane wiadro bez dna i podarty kapelusz. Mój drogi, takie rzeczy pamięta się fotograficznie. A ciekawe jest to, że widząc owo wiadro i niepotrzebny kapelusz zdecydowałam definitywnie choć w istocie bez żadnego powodu: nie będzie dziś rozstrzelania. Potem z normalną miną powiedziałam ludziom „dzieńdobry" a Józek uchylił kapelusza swoim ładnym ruchem. Odpowiedziano nam jak należy, ale zrywał się wiatr i głosy rozpierzchły się: zabrzmiały słabo, nawet niepewnie. Tylko jedna odpowiedź nie zgubiła się, ktoś powiedział cienko i dziecinnym, nie, dziewczynkowatym sposobem (wiesz, jak dzieci kłaniają się gościom rodziców) „dzień dobry państwu".

Wanda uczyniła ręką taki gest, jakby chciała odpędzić wspomnienie.

„To było idiotyczne, że to było naprawdę dziecko. Mała dziewczynka jeszcze różowa od snu, rudawe zmierzwione włosy, niebieski, bardzo niebieski płaszcz, rajtuzy i domowe też niebieskie pantofle. Pośród szarzyzny tego poranka, kiedy można było zwątpić w każdą, najjaskrawszą nawet barwę, kolorowa, pachnąca jeszcze wygrzanym białym łóżeczkiem dziewczynka. Między ludźmi kulącymi się przed strachem i wiatrem, mówiące grzecznie „dzieńdobry państwu" dziecko. Mówię ci, to było idiotycznie niedorzeczne. Dziewczynka patrzyła nam prosto w twarz wyjaśniając z uwagą: „ja jestem Monika, a to mój tatuś". Wysoki mężczyzna z golą głową uśmiechnął się oczyma zdumiewająco spokojnie i przedstawił się nam. Nazwisko powiedział wyraźnie. Mój wzrok spotkał się ze wzrokiem Józka a byłam pewna, że w moim jest tyle niepokoju ile w jego: tych dwoje to byli chyba Żydzi — wystarczyło nam skojarzyć nazwisko z rysami. Spojrzałam na Monikę. Mogła mieć siedem lub osiem lat i była śliczna. Tak: dzieci nie są piękne, tylko śliczne. Więc Monika była śliczna: oczy ciemne i (dopiero teraz tak pomyślałam) trochę wschodnie, włosy rozburzone wiatrem i zdrowe, zbudzone przez chłód rumieńce. Skarżyła się na zimno: „tatusiu, zimno". Ojciec wyjaśniał mądrym głosem całkiem tak, jakby mówił do kolegi, że powinna skakać, jak najwięcej skakać i ruszać się, to nie będzie jej wcale a wcale, ani trochę nie będzie jej zimno. Potem rozmawiał z Józkiem. Wiatr porywał im słowa z warg tak, że słyszałam bardzo niewiele. Tym bardziej, że wymieniałyśmy grzeczności i okolicznościowe uwagi z Moniką o pogodzie, o porze roku, o jej wieku i o złym, nieokrzesanym wychowaniu niemieckiej policji.

Niemcy stali wokół nas patrząc obojętnie na niebo, na lufy swoich automatów, a hełmy policji lśniły wilgocią. Pod naszymi stopami konała brudna resztka śniegu, zaś Monika kolorowa, rozbawiona skakaniem i dziwaczną sytuacją zaczęła pokrzykiwać „hop, hop!" wyjaśniając, że tak się woła w lesie na wycieczce — tylko, dodała, musi być jeszcze lato. Uciszyłam ją: poczekajmy na lato.

Potem zajechały auta i w tłoku, wśród nawoływań i uderzeń (jakaś kobieta zaczęła płakać) zgubiliśmy nagle Monikę z ojcem. Była to jedna z tych maszyn, jakimi zwykle wożono więźniów, obszerna platforma kryta brezentowym dachem. Ludzie stali ramię przy ramieniu, podrzucani bezwładnie za każdym wybojem bruku ale już swobodniejsi i weselsi, stało się rzeczą jasną, że rozstrzelania dziś na pewno nie będzie, że wiozą nas na Pawiak. Tylko zaczęło się śmieszne i ukradkowe opróżnianie kieszeni: każdy prawie sięgał na pierś, a gdy skręciliśmy w jedną z ludniejszych ulic ktoś z pańskim gestem rzucił plik banknotów na wiatr. Stałam tuż przy brzegu platformy i widziałam jak rozsiały się po bruku i chodnikach, a mały, gapiący się na nas wyrostek pochwyciwszy kilka zaczął, wywijając czapką, biec desperacko za naszym autem. Szybko znikł w długiej perspektywie ulicy...

Wprowadzono nas do kancelarii więzienia i od razu twarzami do ścian. Rozdzielano mężczyzn od kobiet. Uścisnęłam rękę Józka...

...Przy balaskach legitymowano właśnie ojca Moniki. Na pytanie: „narodowość"? podniósł głos, a ludzie słysząc, „Jude", skulili ramiona z zaciekawionym strachem. Zapisujący kartoteki Untersturmfuehrer-SS obrócił ku niemu głowę i uśmiechnął się; w tym uśmiechu było wszystko: śledztwo, wyrok i... i śmierć. Ojciec Moniki wyszedł, inni także, Józek także"...

Pochyliłem lekko głowę, choć listy od męża Wandy przychodziły ostatnio nawet dosyć często.

„Nas, kobiety, przeprowadzono do innego budynku; przez dziedziniec, potem mała furtka w murze, znowu dziedziniec, białe po staroświecku a raczej klasztorno-więziennie sklepione ściany i wreszcie cela. Na parterze. Było nas kilkanaście, ja weszłam przedostatnia i dopiero wtedy, pierwszy raz w życiu usłyszałam trzask zamykanych drzwi i przekręcenie klucza w zamku. O ile sobie przypominam... jeśli tego nie znasz, nie pojmiesz... można by sobie wyobrazić, że drzwi znikły, albo: że drzwi stały się ścianą; zostają wprawdzie dwa duże poprzekreślane kratami okna, ale poza tym nic... przepraszam... jest jeszcze w murze otwór na jedną cegłę: okienko, judasz. Potem nauczyłam się widzieć drzwi i bać się ich, ale wtedy... Zresztą to nie ważne...

Z grupki więźniarek, które już były w celi i szły ku nam spod okien wyrwała się głośna radość: Monika. Przybiegła prosto do mnie. Całowałyśmy się tak serdecznie i kochanie jak szczere, stare, wypróbowane przyjaciółki. Bo naprawdę radośnie umieją się całować tylko kobiety i to tylko wtedy, gdy jedna z nich jest dzieckiem. Kucnęłam przy niej, a Monika splotła mi ciasno ręce na szyi szepcząc, jak „bardzo, bardzo, bardzo się cieszy".

Jakoś spokojniej zrobiło się w pokoju. Ucichł wiatr, głos Wandy złagodniał nieco.

„Cela była dawniej kaplicą. Zachował się ołtarz, ślady na ścianach po zdjętym krucyfiksie i obrazach a nawet proste balaski z jasnego drzewa dzielące celę na dwie części: z jednej strony okna i ołtarz, z drugiej ściany z drzwiami-niedrzwiami. Monika była zachwycona niecodziennym kształtem celi, komicznie a nieoczekiwanie dobierała pytania i domyśliniki do ołtarza, balasek, łukowych kaplicznych okien. Potem poznawałam współtowarzyszki.

Kobiety różne, ale jak to kobiety: nastroszyły się swoim strachem po kwoczemu, przysiadły na balaskach niczym kury na prętach kurnika i przysięgłabym w tej chwili, że gdakały; półgłosem, a niektóre nawet szeptem kłopotały się, martwiły i bały. Nic dziwnego: pierwszy dzień w celi mało daje okazji do śmiechu. Właściwie tylko Monika była swobodna, a ja dzięki niej zapewne zwyczajna jak codzień. Inne siedziały z nastroszonymi minami pilnując swych torebek".

Wanda zastanowiła się na moment.

„Właściwie po imieniu nazwę tylko dwie: bezimienną w istocie „Żydówkę" i panią Jadwigę. Inne? — ot, poczciwe i płaksiwe kobiecinki prosto a zwyczajnie popłakujące nad swoim losem i nad „nieszczęśliwym dzieckiem."

Z tych dwu kobiet „Żydówka" była pierwszą, z którą rozmawiałam i której podałam rękę: młoda, niebrzydka a blada kobieta o gładko czarnych włosach wyłowiona z dobrze zakonspirowanego mieszkania na Żoliborzu. Opowiedziała mi od razu swą historię nieciekawie a nerwowo. Zrozumiałam dobrze (to znaczy tak „do środka") tylko te zdania, w których mówiła o mężu. Bezbarwnie ale tragicznie stwierdziła, że aresztowano ich razem, ale że już go nigdy nie ujrzy, że umrą osobno. Potem dodała ze szczególną uwagą, że na pewno umrą i ona wie o tym doskonale. To było pierwsze i ostatnie tego rodzaju proroctwo, jakie słyszałam na celi a tak zdecydowane i pewne siebie, że bliższe chyba samobójstwu niż rezygnacji. Zapamiętałam dobrze jej wzrok skierowany w okno; za szybą a raczej za kratami było gliniaste podwórze, kawał szarego muru i spłacheć szarego nieba, a ona coś tam widziała, myślę że... może lufy karabinów jako... jako wyzwolenie. Nie lubię takich słów. Ale zdaje się mam rację.

Nie przedstawiła się (dlatego nazywano ją „Żydówką") i dopiero na koniec spytała wskazując Monikę: „to krewna?". Gdy ze zbytnim może zdziwieniem zaprzeczyłam, uśmiechnęła się obojętnie. Milczała.

Ta druga, pani Jadwiga, spytała inaczej, też wskazując palcem na Monikę: „to pani córka?" i zaraz drugię pytanie: „znaczy się, pani Żydówka?" Spojrzałam na nią wtedy uważnie i zaprzeczyłam tym razem niedbale, wzruszyłam nawet ramionami — „nie, myli się pani". Pani Jadwiga była już starszą niewiastą o kanciastych ruchach, ostrych rysach i przenikliwym głosie. Jedna z tych (a była niewysoka), które nawet z dołu patrzą się z góry i które „wymagają" — wymagają ciszy, spokoju, posłuszeństwa, szacunku i tysiąca innych idiotyzmów — wymagają z konieczności wymagania czegokolwiekbądź od kogokolwiekbądź — antypatyczne... Jej pierwsze spojrzenie uznałam za zaczepne a jej pierwsze pytania były wprost przesiąknięte niechęcią. Powiedziałam jej słówko..."

Wanda błysnęła oczyma, zębami — zaśmiała się z pełną nagłego temperamentu satysfakcją.

„Spytałam: „czemu pani się stawia?". Tak prosto w nos. Od razu i bez wstępu. Zmilczała wyniośle a z obrazą odpowiedź i zaczęła się gniewać. Nie odzywała się do mnie przez tydzień. Dopiero..."

Przerwałem jej nieśmiało:

„A Monika? A co z Moniką?"

Oczy Wandy zgasły jakbym tymi słowami zdmuchnął płomienie świec. Dopiero po chwili podjęła dalej swą opowieść:

„Monika? Właściwie nie potrafię chyba nigdy zrozumieć sensu jej uwięzienia.

Pierwszego dnia Moniki nie pamiętam. Po prostu zbyt wielki miałam w głowie i w celi bałagan, by zająć się moją przyjaciółką. Wszystkie byłyśmy nowicjuszki — ach! oczywista z wyjątkiem pani Jadwigi — więc każda opowiadała o swym aresztowaniu, mało która wiedziała za co siedzi, jedna przypomniała sobie, że zostawiła mleko na gazie, druga jęczała, że już ją pchły gryzą — w ogóle rozlazły się po celi i ciągle trzeba było kogoś słuchać i co gorsze ocierać łzy łatwe, obfite. Wyobraź sobie, że owo mleko na gazie dało początek jednemu z najostrzejszych ataków płaczu tego głupiego dnia. A w dodatku trzeba się było nauczyć więzienia: począwszy od używania wody, mycia talerzy i siebie a kończąc na kiblu zamkniętym w obskurnym szalecie. Kobiety były zastrachane i denerwująco nieporadne. I właściwie pani Jadwiga zaimponowała mi: też była zastrachana (u niej nazywało się to irytacją — rozumiesz?), ale krzątała się, rozkazywała, skleła niepotrzebnie płaczące, wymagała ciszy i spokoju. Teraz przyznaję jej rację..."

Wanda parsknęła lekkim śmieszkiem.

„To znaczy przyznaję jej rację głośno. Ja też nie znoszę histerii — ale nie lubię, gdy się ktoś zanadto rządzi — bo to jest taka zakonspirowana histeria.

Ach, Monika. Zdaje się, że już wspomniałam, jak była swobodna, nawet pomogła mnie w zachowaniu spokoju. W celi było ciepło, więc jej opiekunka „Żydówka" zdjęła z dziewczynki płaszczyk i Monika krzątała się pośród nas w zielonej, wełnianej sukience; od razu zaprezentowała swą ulubioną pozycję podskakując — jak to dziewczynka — na jednej nodze. Myszkowała między niewiastami, siennikami i ścianami pytając: po co i dlaczego?— To pamiętam.

Ale nie wiem, co się tam pierwszego dnia w jej głowinie działo, choć od pierwszego dnia stałyśmy się przyjaciółkami wypróbowanej wierności.

Blada „Żydówka" dbała o Monikę — tak jej kazali Niemcy w kancelarii — ale milcząca i tragiczna nie mogła się zdobyć nawet na to, by dziecko ucałować czy z nim porozmawiać. Wprawdzie spała z nią otulając troskliwie własnym kocem, myła i karmiła sumiennie, ale na tym koniec. Nie dziwię się... Więc ja wzięłam na siebie resztę. A problemów do omawiania i powodów do pieszczot było dosyć...

Potem dnie stały się te same i nudne, kobiety się uspokoiły i każda — a myślę w tej chwili o sobie — pozbyła się już trochę nahalnego egocentryzmu pierwszych godzin. Przyzwyczajałyśmy się do życia w celi zwyczajnie. Po porannym myciu i śniadaniu Monika przybiegała do mnie na pogawędkę, na ploteczki. Więc: jak się spało, co się śniło, jak z humorem i zdrowiem i w ogóle co słychać? Siadałyśmy we wnęce okna, ja z prawej ona z lewej strony i gadało się o tym i o owym, a że Monika wyrosła już z wieku pytań i rozpoczęła okres pewników, więc mogę stwierdzić śmiało, że była dzieckiem nieprzeciętnie dorosłym. Szczególnie jej skrytość, uczuciowa powściągliwość..."

Wanda zamyśliła się na moment, a w pochyleniu jej ramion, w geście złożonych na kolanach dłoni, w wygięciu warg, w całej sylwetce widziałem czułość i ciepło — powrotną falę tych godzin spędzonych z nieznanym mi, lecz z każdym słowem bliższym dzieckiem, we wnęce okiennej w celi na Pawiaku.

„Wiesz, jak to dzieci: od razu się wie co tatuś, co mamusia, co w domu i jak wyglądają zabawki. A Monika nie. Rozmawiałyśmy o tym co i jak przeżywamy, ale przynajmniej z początku nie mówiło się o sentymentach i tęsknotach.

Pierwszy problem? Tak! to były talerze, na których jadłyśmy. Ordynarne i nieprzyjemne, emaliowane miski połatane rdzawą blachą jak brudem niepokoiły Monikę i zajęły miejsce w rozmowach na czas dłuższy. I to nie samo jedzenie, które było, ot, jak w więzieniu. Dziewczynka jadła z obowiązku, z dyscypliny wewnętrznej i zewnętrznej, bez zmrużenia powiek, bez grymasu niechęci. Ale talerze „przecież mają być białe i gładkie" dowodziła z niezmienną pewnością siebie i poczuciem racji, omalże racji stanu — „mają być, Wando, z porcelany". Monika jadła z „Żydówką" w innej części celi na swym sienniku i zawsze starannie zmywała za sobą talerz i łyżkę, ale po obiedzie zaczynała rozmowę od słów: „właściwie te talerze, to one..." że nieładne, nieprzyjemne i wyobraź sobie, jak poważnie, bardzo niehygieniczne. Pochylała przy swych dowodzeniach główkę na bok i patrzyła mi prosto w twarz z konsternacją, z pytaniem w szeroko rozwartych oczach. Miała bardzo duże brązowo-jasne źrenice i długie po dziecięcemu rzęsy.

Pani Jadwiga, może nawet trochę zazdrosna o moją przyjaźń z Moniką, podsłuchawszy kiedyś talerzową dyskusję sarknęła ostro na temat smarkaczowskich fochów. Odpowiedziałam jej wymownym spojrzeniem i od razu umilkła; ale Monika biedactwo skuliła się smutnie. Bo pani Jadwiga..."

Wanda złożyła ręce z przekonaniem: „...z zazdrości, na pewno z zazdrości zaczęła dokuczać dziecku. I to w sposób najgorszy i najbardziej dotkliwy, w jaki tylko starsi mogą zatruć życie dzieciom: po prostu uznała, że w celi nie ma miejsca dla swobody i kolorów na policzkach, dla jasnego głosu i podskakiwania na jednej nodze. Uznała, że nie ma miejsca dla dzieci. W celi. Właśnie w celi, gdzie takie zjawisko jak Monika wymagało specjalnej opieki i czułości, specjalnego nieomal kultu. Byłam czasami zła nawet na te poczciwiny, które zapłakiwały się nad losem naszej dziewczynki, bo przecież ich łzy Monika widziała i zaczynała się bać przyszłości za nimi ukrytej. A co dopiero mówić o pani Jadwidze chcącej celę uczynioną z kaplicy przetworzyć na katakumby, gdzie powinno się ściągać surowo usta, siedzieć spokojnie, mówić półgłosem i w ogóle „ojczenaszyć" od rana do nocy i z powrotem. To był pająk ta Jadwiga. Ubrana po swojemu, to znaczy czarno, stąpała (o właśnie) stąpała po celi z kąta w kąt i plotła pajęczynę dostojeństwa. Steroryzowała prawie wszystkie, a co dopiero Monikę."

Wanda zacięła usta.

„Wiem, że Monika płakała do poduszki, to znaczy do snu, raz powiedziała mi o tym w sekrecie „Żydówka", a potem już mogłam się sama zorientować. Raczej nauczyłam się orientować. Nie było to takie proste, bo Monika... Monika była dzielna, na nic się zdało szukanie słuchem w ciemnej już celi jakiegoś szlochu czy pociągania nosem. Ale płacz kończył się nieodmiennie snem i wtedy dopiero mogłam wśród trzydziestu oddechów wyłapać ten najbiedniejszy i najbardziej samotny: dziecinne zachłystywanie się resztkami płaczu. Możesz mi wierzyć, że były to jedne z cięższych moich chwil w celi.

Wpierw myślałam, że to wina pani Jadwigi i przyznam się, że zatrułam jej skrycie lecz najboleśniej, jak to tylko kobiety potrafią, niejedną gorzką godzinę. Ale pomyliłam się: całą sprawę wyjaśniła dopiero Monika. I choć płakała prawie co wieczór, wyznała mi prawdę, mnie swojej jedynej i najbliższej przyjaciółce, dopiero w dziewiątym dniu od naszego aresztowania. Rano, od razu po zbudzeniu przyszła do mnie i całując się na dzieńdobry szepnęła: „wczoraj wieczór bardzo płakałam". Potem myła się i jadła tak poważnie i sumiennie jak codzień. Ale w czasie śniadania czułam prawie bez przerwy jej wzrok na sobie uważny, kontrolujący, omalże nieufny — wierz mi, nawet wśród najtęższych ludzi rzadko można się spotkać z taką dojmującą powściągliwością zwierzeń.

Wreszcie we framudze okiennej, w naszej codziennej rozmównicy, przysunęła się do mnie tak blisko, że czułam ciepło jej ciała, i zaczęła tłumaczyć cichutko, półgłosem swoje żale i tęsknoty. Biedactwo wodziło wzrokiem za panią Jadwigą i gdy ta zbliżała się do nas, milkło, musiałam dopiero uściskiem ramienia dodawać jej odwagi.

Chodziło o tatusia. Tatuś i tatuś. Bo chociaż ja znaczyłam w tej celi dla jej główki i serca, myślę, nie najmniej, to jednak brakło tego najwyższego, najładniejszego, najmądrzejszego kogoś, który by wszystko wytłumaczył: powiedział, kiedy się wróci do domu, kazał dawać kawę z mlekiem i bułkę na śniadanie, kupił coś miłego, mój Boże, który by wytłumaczył, że takie talerze są na prawdę niehygieniczne, wyjaśnił pani Jadwidze, że Monika jest, na prawdę jest grzeczna. Nie możesz żądać ode mnie, bym ci powiedziała co czułam wtedy, bo nie potrafię. Wydało mi się, że moje wszystkie obawy i troski razem z Józkiem i egzekucjami, razem z perspektywą wyroku śmierci są dziwacznie małe, nieważne w porównaniu z bólem tego dziecka. Bólem zbyt wielkim w stosunku do formułowanych przez Monikę przyczyn i zapewne właśnie dlatego tak bardzo przejmującym. Ale to co mówię, wyjaśnia za mało."

Wanda siedziała nieruchomo z czujnym wyrazem twarzy. Tak właśnie, jakby słuchała tamtych niezdarnych sformułowań zbyt wielkiego bólu.

„Sama tęskniłam za Józkiem. Wieczorem, przed snem, łatwo było sobie wymarzyć i wymyślać nieprawdziwe prawdy, przytulić nieobecne ramię, napisać list, który nigdy nie dojdzie... Więc: „Moniko, dam ci papier i ołówek. Napiszesz list do tatusia."

Skinąłem głową:

— Jak do świętego Mikołaja.

„Tak! Jak do świętego Mikołaja. Czy ty wiesz jak dziecko potrafi się cieszyć? Wątpię... Ja za to dzięki Monice wiem na pewno. Wszystko w kąt: pani Jadwiga, jej wymaganie spokoju i talerze... „List, napiszę list do tatusia":

Zaczęło się pisanie listu: dzień, dwa, trzy. Ukradkiem, z dala od wszystkich, z długim patrzeniem w okno, skrupulatnym darciem brulionów i miętoszeniem małego, nieporęcznego ołówka, który udało mi się przemycić przez kancelarię. Monika w trakcie pisania nie pozwalała nikomu zbliżać się. Na te, które robiły jej z początku (bo potem wkroczyłam stanowczo i był spokój) na złość, patrzyła jak pies pilnujący pełnej miski, z rozżarzającą się w oczach niechęcią.

Wreszcie przyniosła trzeciego popołudnia czyściutko napisany list: rozczulająco starannie były poustawiane litery, poukładane nad cieniutkimi, pomocniczymi liniami. „Kochany Tatusiu! Nieźle mi tu, ale bardzo bym chciała zobaczyć się z Tobą." No i potem o tych talerzach, o mnie i o poważnych pieśniach, które się śpiewa rano i wieczorem. Na koniec: „żebyś tak porozmawiał z panią Jadwigą".. Oddała mi list prosząc oczywiście o jak najszybsze wysłanie. Tak — pocztą? Zdawało mi się, że moja kłamliwa obietnica „dziś go dostanie Moniko" jest jednym z tych grzechów, które nie obciążą zbytnio mego sumienia. Nosiłam tę biedną kartkę przy sobie jeszcze długo po... wszystkim.

Następnego dnia pod wieczór dzięki jakiejś nieopatrznej asocjacji spytałam Monikę o matkę. Otrzymałam w odpowiedzi spokojne spojrzenie i spokojne: „mama? w niebie". W pierwszej chwili uczułam gorąco na policzkach, ale Monika porzuciwszy już poruszoną przeze mnie kwestię opowiadała po raz nie wiadomo który o swym liście. Pojęłam, że „niebo", tak ładnie nazwana śmierć, jest w mózgu Moniki białą plamą, nieodkrytą wyspą, której odkrywać nie należy. Matka była już tylko nazwą kogoś zapominanego z dnia na dzień dokładniej, odpowiedź o niebie wyuczoną lekcją, a sprawą najważniejszą i najbliższą radosna miłość do ojca. To jasne, że Monika idąc ku swojej matce nie wiedziała o tym...

Potem przyszły złe czasy."

Głos Wandy stał się prawie całkiem suchy.

„Nauczyłyśmy się rzeczy nowej, chociaż w trzecim tygodniu — były pozory i nieśmiałe nadzieje — myślałyśmy, że będzie już tak ciągle: nudno ale spokojnie. Ja to nazywałam „po bożemu". Tymczasem nie. Bo nauczyłyśmy się a raczej nauczono nas widzieć a co gorsza... bać się drzwi. Tak: zaczęły się śledztwa i egzekucje.

Z początku niby nic. Poszła jedna, druga. Wróciły. Opowiedziały coś tam bezładnie i nieskładnie jak jest na śledztwie. Dla jednej był Niemiec grzeczny, na drugą krzyczał. Ale że właściwie wyglądało to na plotki, że ten był przystojny a tamten ordynus, więc właściwie Monika i ja nie zwracałyśmy na owe historyjki uwagi i rozmawiałyśmy co ranka i co popołudnia na nasze ekskluzywne tematy. Dość często sypiałyśmy razem, co, musisz wiedzieć, spowodowało aluzję pani Jadwigi na temat dziwnej niby zażyłości. Ale co tam... Monika miała nową rozrywkę, bo jedna ze strażniczek w napadzie dobroci pozwalała jej każdego południa, przed obiadem, biegać trochę po korytarzu.

W końcu na śledztwo poszła trzecia, młoda, ale cicha dziewczyna o twarzy tak zwyczajnej, że nie byłabym jej spamiętała, gdyby... gdyby nie jej powrót do celi. Weszła, powiedzmy, weszła ale naprawdę to strażniczka wepchnęła ją do nas. Milczałyśmy. Nie opowiem ci, jak wyglądała. Nie. Ale wystarczy, jeśli powiem, że była potwornie zbita. Ani płaczu ani narzekań, tylko cichy jęk, taki sam zapewne, jak wtedy, gdy ją bili.

I wtedy pani Jadwiga pokazała co umie. Rozkręciła się i rozkomenderowała w sposób imponujący: ona jedna nie straciła głowy, od razu wiedziała, że trzeba dziewczynę położyć a potem nic tylko wysychające kompresy, i jeszcze i jeszcze. Słuchałam jej z satysfakcją niebylejaką — była rzeczywiście imponująca. Tylko że potem Monika, przerażona jak my wszystkie, podeszła do zbitej Joanny i pogładziła ją po ręce, spytała „co pani?" i potem znowu „co pani?", bo zamiast odpowiedzi słyszała ciągle tylko ten do niemożliwości denerwujący jęk. Przeszkodziła w czymś pani Jadwidze i ta odtrąciła ją brutalnie ręką, bardzo złym głosem i bardzo złym zdaniem. Jak złośliwie natrętnego psa. Wtedy jeden jedyny raz widziałam Monikę płaczącą dzieciną zwyczajem głośno a nieszczęśliwie, z pięściami w oczach i ramionami podrzucanymi bezładnym szlochem."

Wanda zastanowiła się na moment.

„Dziś jestem skłonna zająć sprawiedliwe stanowisko, uznać, że pani Jadwiga nie miała na pewno w sobie tej złości, o którą ją pomawiałam. Po prostu zapomniała, że Monika jest dzieckiem a ja też zapomniałam. Że ona zapomniała...

Ale wtedy złapałam Jadwigę za ramię, odwiodłam ostro, policyjnym sposobem na bok i zwymyślałam, zrugałam, zmieszałam z błotem od ostatnich. Oniemiała. A ja poszłam uciszać Monikę, biedactwo długo nie mogło się uspokoić. Pocieszałam i tłumaczyłam, pytałam dlaczego przez śmieszną panią Jadwigę tak bardzo płacze, tak rozpacza. Wtedy Monika odsłoniła opuchłe od łez i drżące policzki, rozszlochanym głosem wytłumaczyła, że to wcale nie przez panią Jadwigę, tylko że tamtej biednej tak żal, tak strasznie żal, że musi płakać, że już nie będzie i przeprasza.

O! nauczyłyśmy się kroków na korytarzu i trzasku otwieranych drzwi aż za dobrze. Gdy Joannę zawołano jeszcze raz i wróciła ze zwichniętą ręką, gdy inną znowu męczono przez pięć bitych godzin aż do rozpaczliwego ataku histerycznego, gdy wreszcie wywołano je obie i jeszcze dwie inne na drogę bezpowrotną.

Monika już nie skakała po celi ani nie plotkowałyśmy zbyt wesoło. Siadałyśmy sobie jak dawniej przy oknie, ale tematy gdzieś się nieopatrznie pogubiły, choć za pokratowanymi szybami było co dnia jaśniej i co południa cieplej.

Wierz mi, że coraz trudniej było układać plany nowego listu do tatusia i powrotu do domu. Osowiałe i przeważnie milczące oglądałyśmy niebo pełne rozmaitych chmur i kolorów nasłuchując kroków za drzwiami. Monika schudła i zbladła, kończył się przecież już pierwszy miesiąc jej niewoli. A pani Jadwiga była chwilami zła i niedobra dla małej tak dalece, że wybuchały awantury (ciche ale zajadłe) prawie co dzień. Byłam skłonna nawet do nienawiści, choć nienawidzieć nie umiem."

Wanda machinalnym gestem opowiadających oglądała swe ręce.

„Teraz mi żal tej starszej pani. Ale gdy ją pewnego dnia wywołano i wiedziałyśmy wszystkie dobrze — a ona także — że już nie wróci ani do celi ani do domu, byłam bliska westchnienia ulgi. Zabrano razem z nią kobietę w ostatnich dniach ciąży i starą, dewocką przekupkę ze Starego Miasta. A potem znowu cztery. Wiem, że Monika znowu płakała po zgaszeniu światła i co wieczora nasłuchiwałam łkającego oddechu mojej przyjaciółki, a co ranka czekałam, nie myśląc już o sobie, na słowa, które nas rozłączą nieodwołalnie.

Jednego dnia było jakoś weselej, bo przez otwarte okna wpadł wiatr i pobałaganił włosy, koce i suknie bez umiaru i zastanowienia. Siedząc z Moniką przy oknie śmiałyśmy się wesoło jak dawniej. I nie pamiętam już dlaczego spytała mnie o niebo: „Czy nie wiesz jak jest u mamy? W niebie?"

Sądzę, że za tym pytaniem kryła się jakaś podsłuchana modlitwa lub współczujące tkliwości którejś z płaczliwych kumoszek. I mimo pozornie beztroskiej miny patrzyłam jej w oczy uważnie: było w nich za wiele, na pewno za wiele ciekawości. Odpowiedziałam: „O! prześlicznie." Wyliczałam uroki nieba: kina, w których grają aniołki, jakieś zabawne lunaparki i las, po którym chodzi jej matka zbierając kwiaty. Monika kiwała z przejęciem głową.

Pamiętam z tej rozmowy wszystko, tym bardziej, że w pewnej chwili zadałam pytanie. Nazwijmy to pytaniem na czasie:

— „I chciałabyś się z mamusią zobaczyć?" „Żydówka" stała przy nas i wtrąciła się z nagłym błyskiem oczu:

„Czy pani miewa przeczucia?"

Monika przenosiła wzrok ze mnie na tamtą, by mi w końcu odpowiedzieć ze świadomie zdyscyplinowanym przekonaniem: „O tak".

Ale wieczorem całując mnie jak zwykle czule i ufnie na dobranoc wspięła się na palce do mego ucha i szeptem, takim najcichszym z szeptów, wyznała:

„Wiesz? czasami to bym nie chciała jeszcze iść do nieba."

Wyprostowałem się nagle, bo zdawało mi się, że Wanda nachyliwszy głowę słucha znowu tego prostego wyznania, że tuż koło niej wspina się na palce małe, śliczne dziecko i gestem rozłożonych rąk wyraża swą bezradność, swoje samotne niezrozumienie przeżywanych przez siebie spraw.

Wtedy wszedł do pokoju Staszek i błysnął ku nam okularami:

— Słuchajcie. Front się zbliża.

Za nim weszli inni, zrobiło się ludno i głośno na polityczne tematy. Mury drżały lekko, lecz dostrzegalnie.

JULIUSZ KYDRYŃSKI

Biała noc

Pamięci aktora polskiego, mego serdecznego przyjaciela, zamordowanego w Oświęcimiu, Mieczysława Węgrzyna.

I.

Wszystko zamyka ta noc, jakby zbudowana z drobnych odłamków szkła krążących naokół, boleśnie wbijających się pod skórę, żrących żywą tkankę. Noc, wielokrotnie przekreślona jaskrawym blaskiem reflektorów krzyżujących się w górze, nad kompleksem bloków. Męcząca, biała noc.

Capo ostrożnie zamyka za sobą drzwi. Od tej chwili, każdy jego krok to wyzwanie, rzucone zbliżającej się śmierci. Capo idzie jej naprzeciw, jednak do ostatka pragnie być panem swego losu, chce, żeby jego śmierć do niego samego tylko należała. Boso skrada się korytarzem, drżąc z zimna w naprędce zarzuconym drelichu. — — — „...Jeszcze nie czas — powtarza — jeszcze nie czas... Nie mogą mnie tutaj znaleźć, sam ich poszukam". — Dalej posuwa się z mniejszym trudem — ręką błądząc po ścianie znajduje wreszcie drzwi, wiodące na zewnątrz.

Capo ma lat dziewiętnaście i głębokie poczucie własnej nicości. Ale to od wczoraj dopiero, od chwili, kiedy zaczął się nad tym zastanawiać. Przedtem, w ciągu tych dwóch lat, żył jak we śnie, nie odróżniając marzenia od jawy, gorączkowo stwarzanych fikcyj od rzeczywistości. Po roku spędzonym w obozie, nieopisanym roku, sam nie wiedząc dlaczego, otrzymał żółtą opaskę z napisem „Capo", którą kazano mu nosić na lewym ramieniu. Od tego dnia, jako starszy więzień wyznaczany bywał do przewodnictwa grupom nowoprzybyłych. Uczył ich musztry obozowej w trzydniowym okresie przeszkolenia, potem doglądał ich codziennej pracy. Sam już nie pracował.

Nie zdając sobie sprawy z kompleksów jakie wytworzyło w nim życie obozowe, uważał za rzecz naturalną, że — znosząc dawniej najniesłuszniejsze kary, połączone ze straszliwym biciem pięścią po głowie, kopaniem w brzuch i innymi akcesoriami pomocniczymi, teraz sam miał prawo ich udzielać. To też z najdoskonalszą bezmyślnością i najbardziej pierwotnym okrucieństwem katował towarzyszy. Psychika tropionego, szczutego zwierzęcia, które drżąc przed silniejszym zabija słabsze od siebie, znalazła w nim swój doskonały wyraz.

Teraz Capo, ubrany w popielaty, niebiesko prążkowany drelich więzienny, przylega do ściany bloku, wstrzymując oddech i zatracając na chwilę świadomość rzeczywistości. Obok przechodzi nocny patrol obozu. Dwaj SS-mani w szczelnie zapiętych płaszczach, paląc papierosy rozmawiają półgłosem. Nad ich głowami lśnią matowo lufy ręcznych karabinów maszynowych. Słychać krótki, urwany śmiech.

Capo odrywa się od muru. Teraz musi przebiec zalaną światłem reflektora przestrzeń, dzielącą go od następnego, zbawczego bloku. Rozgląda się ostrożnie, potem trzema susami przebiega niewielką odległość. Wstrząsany gwałtownym dreszczem, z kroplami potu na skroniach, oddycha jednak z ulgą. Znajduje się teraz u ścian 20-tego bloku, zbudowanego na krańcu obozu, bloku, za którym nie ma już nic. Tutaj właśnie czeka go wolność. Dźwięk tego słowa szeptanego półgłosem przywraca nieprzyjemne uczucie ucisku w piersiach. Suchy język nie może zwilżyć spalonych gorączką warg, które uparcie, w kółko powtarzają to jedno, dziwaczne, niezwykłe słowo: **wolność.**

Jest chwila, w której Capo najwyższą rozkosz znalazłby w rozpaczliwym, obłędnym tłuczeniu głową o zimny mur bloku. Znowu wraca wczorajszy wieczór, moment po apelu, gdy Jacek, nieprzytomny ze zmęczenia, upuścił menażkę z porcją pomyj, mających zastąpić wieczorną kawę. Brudna struga rozlała się po świeżo zamiecionej podłodze. Wówczas Capo jednym uderzeniem pięści powalił Jacka na ziemię, potem chwyciwszy najbliżej stojącą, ciężką menażkę, rzucił mu ją w twarz z siłą, o jaką sam nigdy się nie podejrzewał. Jacek nie krzyczał. Słychać było tylko jego ciężki oddech i stłumiony bólem i zdumieniem jęk:

— No, ty...

Capo uderzeniem podkutego obcasa wtłoczył leżącemu ten jęk z powrotem w gardło. Potem usiadł na pryczy, wyciągnął z kieszeni kawał na kość zeschłego chleba i jął go żuć powoli i spokojnie.

Obłąkany wzrok i ostatni jęk zamordowanego towarzysza wrócił doń dopiero później, gdy z tamtego pozostała już garść popiołu. Wtedy Capo odgrzebał w swej młodej pamięci niewiarygodne chwile, gdy — na wolności — siedzieli z Jackiem na jednej ławce w polskim gimnazjum, pomagając sobie nawzajem w tłumaczeniu Liwiusza. Ze zdumieniem, na trzeźwo myśli teraz o dniu, w którym spotkał Jacka w obozie, Jacka zmienionego do niepoznania, z ogoloną głową i błędnymi, przerażonymi oczami. Capo nie czuł wtedy współczucia, raczej coś w rodzaju złośliwego zadowolenia, że oto ten Jacek, który zażywał wolności, podczas gdy on, Capo, już tak dawno... no, więc, że Jacek także znalazł się tutaj. A zresztą... właściwie nic go to już nie mogło obchodzić.

Trwa biała noc i Capo, szczękając zębami, dobiega myślą punktu, gdy dzisiaj rano opadła zeń jak gdyby ciężka powłoka, w której tkwił od wielu miesięcy. Z przerażającą jasnością zrozumiał wszystko. I to postanowienie dojrzało w nim w tym samym ułamku chwili. Chociaż jeszcze przed paroma godzinami, leżąc na pryczy, próbował przypomnieć sobie słowa dawno nie odmawianej modlitwy, odrzucił ją wreszcie jako pokusę słabości. Nie umiał zrezygnować ze swojej dzikiej, dziewiętnastoletniej dumy. Więc znowu wróciła stanowcza, nieodwołalna decyzja i właściwie Capo czuje się już wolnym, zupełnie wolnym. Upaja się wolnością.

Jeszcze tylko dziesięć kroków. Ale każdy z nich wymaga doskonałego rozsądku i nieugiętej siły woli. Bo jeden z zewnętrznych, ruchomych reflektorów błądzi właśnie w pobliżu. Złotawe, mdłe światło liże mury ostatniego, 20-tego bloku, ostatniej przystani.

W odległości dziesięciu kroków biegnie potrójna linia drutów wysokiego napięcia. Rozciągnięte między słupami z betonu, biało malowane druty wyglądają niesamowicie i Capo wyobraża sobie, że dziwnie brzęczą, grożą, ostrzegają. Blok dwudziesty znajduje się w jednym z rogów obozu, w pobliżu wartowni, zbudowanej wysoko, ponad drutami, odcinającej się czarną sylwetą na granatowym tle nieba. Capo myśląc o wartowniku, tęgim SS-manie o przekrwionych oczach, siedzącym przez całą noc z gotowym do strzału karabinem, wie z całą pewnością, że ten reprezentant uzbrojonej siły nigdy nie osiągnie wolności. Za to on, Capo, wychodzi jej naprzeciw.

Dziesięć trudnych kroków, które trzeba przebyć, zanurzając stopy w mdłym, złotawym świetle. Druty brzęczą już teraz zupełnie wyraźnie, białe druty z węzłami kolców, wznoszące się zaporą trzechmetrowej wysokości.

Właściwie elektryzowana jest tylko ostatnia, trzecia linia, ale zobaczą mnie z pewnością wcześniej — myśli Capo, skurczoną dłonią nerwowo rozsuwając koszulę na piersiach. I nagle odzyskuje zupełny, chłodny spokój. Odrzuca dumnie zgrabną, po męsku piękną głowę i pełen nieopisanego zachwytu wstępuje w śmiertelny krąg światła.

Nie słyszy już trzasku repetowanego karabinu, ani ostrego, długiego gwizdu, raniącego noc. Światło ruchomego reflektora zatrzymuje się przez chwilę na krwawym, bezwładnie zwisającym na drutach strzępie ludzkiego ciała.

II.

SS prowadzący Andrzeja jest młodym, przystojnym chłopcem o miłych rysach. Niktby nie przypuścił, że ten mężczyzna o twarzy dziecka potrafił zręcznym kopnięciem w brzuch zabić już kilkunastu więźniów. Teraz prowadzi Andrzeja; mimo ściskanego w ręce rewolweru ma na twarzy uśmiech, tylko szeroko otwarte oczy narkomana odsłaniają czasem błysk okrucieństwa. W pewnej chwili uśmiech znika mu z twarzy, która cała ściąga się w zimną maskę, palce ściskają silniej kolbę rewolweru.

Andrzej nie wie, dokąd go prowadzą i niczego nie chce się domyślać. Bo domyślać się może tylko rzeczy najgorszych. Dziś przed rannym apelem Capo przyłapał go w chwili, gdy drżąc z zimna owijał się kocem, na który chciał naciągnąć drelichową bluzę. Andrzej wiedział, że za to karzą bunkrem, ale było mu już wszystko jedno. No, a teraz... Capo oczywiście na początek dał mu coś od siebie, a teraz idą w stronę jedenastego bloku. Tego już właściwie Andrzej nie musi się domyślać. Tego jest pewien.

Zatrzymują się przed zwykłymi, drewnianymi drzwiami, od wewnątrz zamkniętymi na klucz. SS naciska guzik dzwonka, potem uderza Andrzeja lufą w plecy mrucząc coś pod nosem. Za chwilę otwiera Bunker-Capo, we-

teran obozów w Rzeszy, Niemiec, skończony sadysta, który też tutaj, w Oświęcimiu, dzierżąc jedną z najstraszniejszych godności w więziennej hierarchii, jest w zupełności właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

— Isolieren — mruczy SS, potem odchodzi. Teraz tamten, nie mówiąc słowa, popycha Andrzeja przed sobą. Idą długim korytarzem, potem w lewo, schodami w dół. Andrzej już wie dokładnie, co go czeka. Zaciska pięści.

— Nie myśleć... tylko nie myśleć...

Istotnie nic już nie dochodzi do jego świadomości. Jak przez mgłę słyszy Capo gwiżdżącego w kółko pierwsze takty „Questa quella" z „Rigoletta". Potem zatrzymują się, już w korytarzu podziemnym, Capo otwiera jakieś drzwi, wyjmuje dwa koce. I jeszcze kilka kroków naprzód.

Stoją przed okutymi, stalowymi drzwiami, z małym judaszem, wyciętym w górze. Capo manipuluje pękiem olbrzymich kluczy, odsuwa jeszcze jakieś rygle. Potem uderzeniem pięści wpycha Andrzeja do bunkra, rzuca za nim koce. Drzwi zatrzaskują się, zanim Andrzej może się zorientować gaśnie światło, zalega zupełna ciemność. Capo przekręcił kontakt umieszczony na zewnątrz. Wraz z krokami w korytarzu oddala się melodia arii Verdiego.

Pierwszą myślą jest skoczyć do drzwi i walić w nie z całej siły pięściami. Andrzej zatacza się. „— Jak wejdą, rzucić się na nich, niech lepiej zastrzelą od razu. O, skurwysyny...! Pan Bóg wam zapłaci! —" najgorsze przekleństwa wiążą się w ustach ze słowami modlitwy. Andrzej podnosi pięść, ale w tej samej chwili opuszcza ją z histerycznym śmiechem, który przechodzi w urywany, spazmatyczny szloch. To wszystko trwa moment, potem Andrzej wyczerpany ostatecznie wyciąga się na betonowej posadzce, zupełnie przybity, na pół obłąkany.

Mijają minuty, podobne do godzin. Myśl zaczyna pracować na nowo, oczy starają się przeniknąć gęstą, złą ciemność. W górze smuga nikłego światełka — Andrzej przypomina sobie, że z wartowni zabrano go o piątej po południu, najwyżej dziesięć minut temu. Na zewnątrz musi więc być jeszcze zupełnie jasno.

Teraz dopiero, myśląc o drodze, jaką tu przyszedł, zdaje sobie sprawę, że jego bunkier znajduje się chyba na jednej linii poniżej sali, w której trzymano ich tutaj w okresie przeszkolenia obozowego. Jedenasty blok karny. Źle zazwyczaj kończy więzień, który po przeszkoleniu otrzymawszy przydział pracy, raz jeszcze wraca do tego bloku. Andrzej zdaje sobie teraz niesłychanie jasno sprawę z tego wszystkiego.

Wzrok przyzwyczaja się powoli do ciemności. Andrzej wstaje, krokami mierzy wymiary bunkra. 3 × 3. W ścianie naprzeciw drzwi, na wysokości dwóch metrów, pod samym sufitem, znajduje się otwór wielkości karty do gry, zabity u wylotu grubą, stalową blachą, w której wywiercono małe otworki. Tak wygląda okienko bunkra. Wewnątrz gładkie, betonowe ściany, jedynym przedmiotem jest prycza zbita z kilku desek.

Andrzej dostaje ataku duszności. Zwilża językiem wargi, rozrywa kołnierz drelicha. Dusi się. Ciemność znowu gęstnieje, zdaje się składać z wilgotnej, gąbczastej substancji, wciskającej się nosem, ustami do gardła. Teraz nudności, ucisk w okolicy przepony. Andrzej poprzez to wszystko pragnie przywiązać myśl do jakiegoś jednego przedmiotu, drobiazgu, co mogłoby przynieść ulgę. Ale to nie jest takie łatwe.

Znowu wracają kompleksy gmachu jedenastego. Reminiscencje pierwszych trzech dni. „Zugang" — świeży transport, po kąpieli i umundurowaniu stłoczono w dwóch salach na piętrze. Z okien widok na dziedziniec, będący równocześnie miejscem kaźni w obozie. Plac kształtu długiego prostokąta, na zamykającej go ścianie przybity do muru wielki kwadrat, spleciony z pakuł, pociągnięty smołą. Przed nim wąski pas przestrzeni, wypełniony białym piaskiem.

Andrzej pamięta dzień, w którym dwóch więźniów taczkami zwoziło świeży piasek, a dwóch innych na ręcznej platformie przywiozło sześć prostych trumien z nieheblowanych desek, wybitych wewnątrz cynkową blachą. W tych trumnach przewożono zwłoki zastrzelonych do krematorium. Andrzej pamięta, że stłoczono ich wówczas pod ścianami, nie pozwalając podejść do okien. Słyszał tylko twardą, krótką komendę, a potem krótki, jakby nie z tego świata huk salwy. Nazajutrz Bunker-Capo chodził bardziej ponury niż zwykle i głośniej niż zazwyczaj gwizdał arię z „Rigoletta".

Ten obraz zamyka się teraz nad nim, jak przeźroczysta tafla wodna. Andrzej leży na dnie. Mimo do bólu zaciskanych pięści napływa jeszcze zjawa matki, która teraz o nim myśli. Potem ciemność wokoło fosforyzuje fioletem i szum, wypełniający czaszkę, układa się w melodię. Andrzejowi jest prawie dobrze. Gdyby zatrzymać czas i tę chwilę, gdyby już nic nie zmieniło się w niewiadomo przez kogo ustalonym porządku. Gdyby zasnąć...

Z tą myślą Andrzej opada jeszcze głębiej, jakby na dno jeziora. Teraz błękit i dziwne zjawy nierzeczywistych istot. Śmierć — no, na to jeszcze czas — sen spływa na jedwabnych skrzydłach i owija twarz niby pachnącą, delikatną wstążką, należącą do ukochanej kobiety.

Za drzwiami znowu zbliżają się kroki, słychać pierwsze takty „Questa quella". Brzęk kluczy i zgrzyt odsuwanych rygli.

III.

Sens człowieczeństwa streszcza się w chwili po apelu wieczornym, w chwili, którą zamyka gong, sygnał do snu. Obóz kipi. Przed poszczególnymi blokami gromady więźniów, w grupach po kilku, szukają w strzępach rozmów, spojrzeniach rzucanych spode łba, w nieopanowanych gestach błędnych dłoni, w tym wszystkim szukają momentu będącego samą treścią, uświadomieniem sobie nienazwanego elementu istnienia. Tragedia tej chwili polega na tym, że gdy w mozolnym trudzie marzenie staje się już osiągalne, gong burzy wszystko, misternie zbudowana, szklana fikcja rozsypuje się w proch. Następnego wieczoru trzeba wszystko zaczynać na nowo.

Gwar, jaki teraz panuje, przytłacza wszystko. Andrzej stara się wyjść poza ten krąg, zdobyć się na najwyższy obiektywizm, stać się biernym obserwatorem. W niedającym się objąć żadnym pojęciem tumulcie pragnie odnaleźć pożądaną melodię, harmonię, szukaną od dawna, która wiele powinna wyjaśnić, wiele pomóc.

Opodal Mietek skostniałymi z zimna rękami bezskutecznie próbuje zapalić wyżebranego papierosa. W błysku zapałki jawi się twarz zsiniała, opuchnięta, straszna, tak dobrze znana Andrzejowi twarz biednego przyjaciela.

Spod zsuniętej na tył głowy czapki sączy się na czoło nitka krzepnącej krwi, wspomnienie ostatniego zajścia przy pracy. W dłoni Mietka gaśnie zapałka, drugiej już nie ma, z uśmiechem, który dziwnie zniekształca mu usta, zbliża się do Andrzeja. Zapalają obaj. Pod wpływem mocnego, jugosłowiańskiego papierosa rzeczywistość blednie, poczyna się oddalać, przynosząc przedsmak pokoju i ukojenia, które kiedyś musi przecież nastąpić. To pierwszy ich papieros od rana, po całym, długim dniu obozowym.

Światło lamp wokół bloków rozpływa się na dnie rozszerzonych źrenic. Ten wieczny, nieustanny gwar... Andrzejowi marzą się noce wśród tajemniczo oświetlonych bazarów, pod gorącym, granatowym niebem. I coś, jak oddalony dźwięk monotonnych piszczałek, jakichś dziwacznych fletów. I brzęk owych słodkich instrumentów o dwu strunach, drgających rytmicznie.

— Druty brzęczą — mówi Mietek i śmieje się. Najpierw cicho, potem chichot staje się coraz głośniejszy. Andrzej zdziwiony spogląda na przyjaciela, tamtemu dziwnie błyszczą oczy. Andrzej z całej siły ściska mu ramię, wbija palce w brudny drelich. Mietek cichnie.

— Zdawało mi się — mówi już spokojnie, potem dodaje:

— To w głowie tak szumi — syknął, dotknąwszy zranionego miejsca nad czołem.

Nadchodzą towarzysze. Urywane pytania, na które nikt nie daje odpowiedzi, padają w ciemną przestrzeń. Pustka oddzwania. Budzi się szalona tęsknota za pieszczotą miękkiej, kobiecej ręki, za słowem, które byłoby w stanie zburzyć cały ten ciężar dławiącego bólu. Wieczór wyciska na skroniach swoje nieuniknione piętno.

Otwarte drzwi bloku buchają pomarańczowym światłem. W umywalniach na parterze myją się Żydzi, rozebrani do pasa. Wszystko to razem jest makabrycznym, dzikim tańcem szkieletów, których chyba przez pomyłkę dotychczas nie spalono, nie zakopano w ziemi. Pomiędzy nimi chodzi ogromny Niemiec, Blockältester, bandyta niewiadomo kiedy wpakowany do Oświęcimia. Przedtem siedział już w Dachau, wtajemniczeni twierdzą, że od początku reżimu. Teraz urządza sadystyczne orgie wśród Żydów paryskich, łachmanów, które były niegdyś ludźmi.

Spojrzenie, które otwarło Andrzejowi ten obraz, wraca go natychmiast rzeczywistości. Więc już bez wrażenia wzrusza ramionami, gdy obok stojący towarzysz opowiada mu szeptem o samobójstwie trzech Żydów, którzy ubiegłej nocy powiesili się w sąsiedniej sali. Mietek znowu zaczyna się śmiać, ale potem przeciągły dźwięk gongu zamyka wszystko. Podwórza pustoszeją w mgnieniu oka, za to wnętrze bloków zamienia się w bezładne, krzykliwe rojowisko, corso żywych trupów. Zbliża się noc.

Krótki apel na sali, sprawdzanie koców, potem starszy izby gasi lampy. Więźniowie śpią po dwóch na jednej pryczy, obóz jest przepełniony. Jeden koc musi wystarczyć dwu ludziom. Okna zostają otwarte — spać oczywiście nie można z powodu straszliwego zimna. Z niespokojnego niby-snu o wpół do czwartej nad ranem wyrywa hasło niemieckiej pobudki.

Teraz Andrzej przymyka oczy, widząc najwyraźniej świat ludzi wolnych. Oto znajomi w Krakowie piją po kolacji herbatę, dyskutując na temat bliskiego końca wojny. Rozmowy trwają do późna, potem idzie się spać, westchnąwszy niekiedy, gdy ktoś przypadkiem wspomni o więźniach oświęcimskich. Kto wrócił, kto już nigdy nie wróci...

Jeżeli Andrzej w tej chwili zazdrości czegoś tym ludziom, to tylko kolacji i własnego łóżka. Poza tym... właściwie cała Europa znajduje się w gigantycznym obozie koncentracyjnym. Wolność... ludzie wolni... dotąd niewielu ich było, a jak będzie, niczego nie można przewidzieć — psiakrew, kto wie, czy rzeczywiście nie lepiej od razu iść na druty. Jeżeli w ten sposób można okazać pogardę...

Mietek ściąga na siebie większą część koca, Andrzejowi jest teraz nieprawdopodobnie zimno. Sen wydaje się nieosiągalnym szczęściem. No, więc...

Niewiadomo, czy za oknem lśni księżyc, czy reflektor. To jest naturalnie zupełnie obojętne, ale jednak chciałoby się wiedzieć. Dlaczego — tego Andrzej także nie umiałby wytłumaczyć.

Potem spływa nań dziwny, chłodny spokój. Nie jest to sen i jeszcze nie śmierć. Jakiś nieokreślony letarg. Tylko szum pod czaszką trwa nieustannie.

— Brzęczą druty —

Nagle w pobliżu dwa szybkie strzały, tupot nóg, stuk wojskowych butów. Potem znów cisza i tylko wieczna, nieunikniona muzyka drutów.

Otwiera się zawsze ta sama, nierzeczywista, biała noc obozowa.

Kraków, 1942.

PO PROSTU

O katastrofizmie

Słowa katastrofizm użył zdaje się po raz pierwszy Oswald Spengler. Ale sam katastrofizm jako zjawisko historyczne jest sprawą bardzo dawną i dobrze znaną badaczom kultury. W okresach gwałtownego narastania sprzeczności społecznych i gospodarczych, kiedy raptownie walił się dotychczasowy system ładu, koniec określonego porządku społecznego, koniec dotychczasowego systemu władzy utożsamiano zawsze z końcem kultury, z końcem historii, z końcem świata. Miały swój katastrofizm wieki średnie, odnajdziemy go w kołach arystokracji francuskiej w przeddzień rewolucji, ale nigdy może postawa katastroficzna nie przybrała tak ohydnych i rozgałęzionych form co w Europie lat międzywojennych.

W okresie pozytywizmu, w ósmym dziesiątku lat zeszłego stulecia wyobrażano sobie świat jak dobrze nakręcony zegar, w którym wszystko jest proste, jasne i zrozumiałe. Ponad losem jednostek i narodów unosił się, jak Bóg nad otchłanią, niewzruszony mechanizm automatycznego postępu. W czterdzieści lat później obraz świata kreślony przez mieszczańskich filozofów uległ zasadniczej zmianie. Proces wytoczono rozumowi i historii. Dążenie do świadomego kształtowania warunków życia społecznego uznano za utopie ciasnych i naiwnych pozytywistów. Naukowemu poznaniu przeciwstawiano intuicję, świadomości — tajemnicze moce drzemiące w głębiach psychiki, na dnie natury ludzkiej. Starano się historię pozbawić jakiegokolwiek sensu, w dziejach dostrzegano jedynie falowanie zmiennego i nieuchwytnego żywiołu życia. W czasach głodowych strajków, periodycznych kryzysów, jawnego gwałtu i wyścigu zbrojeń fałszywi mędrcy władzę nad światem przypisywali demonom. Zmieniły się jedynie nazwy, zamiast Lucypera i Belzebuba demony otrzymały „naukowe" imiona podświadomości, kompleksów, instynktu mocy, głosu krwi, wspólności rasy. Zatryumfował irracjonalizm. Fałszywi prorocy zwiastowali koniec kultury zachodniej fałszywi filozofowie mówili o końcu cywilizacji, tak jak mówią archeolodzy o ichtiozaurach i archeopteryksach, o gatunkach zwierzęcych, które doszedłszy granic rozwoju muszą nieuchronnie ginąć. Heidegger, konsekrowany uroczyście na mistrza filozofii hitlerowskiej, wielbił metafizyczny tragizm istnienia, apostoł emigracji rosyjskiej Bierdiajew zachwalał powrót do średniowiecza.

Nie mniej groźne owoce wydała postawa katastroficzna w literaturze. Kiedy mędrcy bezcześcili rozum, poeci obrali sobie za zadanie znieprawiać wyobraźnię, która — jak to pięknie powiedział Conrad — buduje ostateczne pojęcia życia i śmierci. W pięcioleciu poprzedzającym wojnę zaczęły się coraz częściej u nas pojawiać tomy wierszy, kreślących nową Apokalipsę, ukazujących przerażające wizje zagłady i zniszczenia. W katastrofizmie znalazła swój wyraz duchowa postawa młodej generacji poetów. Dopiero dziś ideowa treść poezji katastroficznej stała się w pełni jasna. Była ona wyrazem słabości, lęku i strachu. Była wyrazem niepokoju, ale zarazem dowodem rezygnacji, rezygnacji z myślenia, rezygnacji z działania. Więcej nawet, była ona wyrazem samobójczych tęsknot do zagłady, nie tylko zapowiedzią, ale i przyzywaniem zniszczenia. Aby odebrać człowiekowi ostatnie oparcie, jakie czerpie z niewzruszoności natury, burzyli poeci świat przyrody i obalali jej prawa; mało im było ziemi, wciągnęli cały wszechświat, pełny komet i mgławic w obłąkany taniec zatraty. Rozkładali proste obrazy, dowolnie mieszali dźwięki i widzenia i z nich jak z pierwiastków budowali poczwarne wizje. Halucynacje poetyckie obalały świat wartości, niszczyły świat materialny.

Katastrofizm przetrwał wybuch wojny. Poeci katastrofizmu stali się nagle mistrzami najmłodszej, wojennej generacji poetów. W konspiracyjnie wydanych antologiach wierszy długo panował ton mistycyzmu i religijnictwa. Klęskę wrześniową przedstawiano jako katastrofę kosmiczną, gdzie pośród gwiezdnej scenerii zmagały się ze sobą dobre i złe duchy. Długo poeci niezdolni byli oddać prawdę klęski i prawdę walki. Potrzeba było trzech lat okupacji, aby najzdolniejsi otrząsnęli się z katastrofizmu. Wojsko czy partyzantka, praca konspiracyjna czy choćby codzienna walka o chleb zmusiła pisarzy do tego, by stanęli twarzą w twarz wobec rzeczywistości. Dla partyzanta czy żołnierza, dla działacza, nawet dla spekulanta, światem nie rządzą demony. O powodzeniu i klęsce decyduje lepsza broń, lepsza taktyka, trafniejsze przewidywanie. Pisarze poznali opór konkretnej rzeczywistości społecznej, poznali po raz pierwszy radość i sens zwycięstwa. Kiedyż dojrzymy go w wierszach?

„Piosenka o końcu świata" Miłosza, niedawno drukowana w „Odrodzeniu", jest pięknym przykładem otrząsania się z czasu katastrofizmu, ironicznym posłowiem do „Trzech zim". Persyflaż, żart i groteska są dobrą bronią przebijającą jak szpilka uroczyste banie mistyczne. Zamiast straszyć nocą w białym prześcieradle duch wybucha śmiechem, poeta wyczynia grymasy przed lustrem, tańczy i nuci: „innego końca świata nie będzie". Jest to jednak ze wszystkich przezwyciężeń katastrofizmu przezwyciężenie najłatwiejsze, niemal prywatne, niemal na własny użytek. Groteska nie wymaga bowiem zmiany techniki poetyckiej; duch, zamiast straszyć, śmieje się, ale kostium pozostał bez zmian. Trzeba także zmienić i kostium.

Persyflaż i żart nie mogą wystarczyć. Istotne przezwyciężenie katastrofizmu nastąpić musi na serio. Myśleć społecznie to znaczy myśleć historią, widzieć rodzenie się nowych form społecznych i zamieranie dawnych, dostrzegać głęboki i surowy sens przemian dziejowych. Ukazać je w wierszach — oto zadanie.

Jan Kott

KRONIKA

André Malraux, autor „Nadziei" i „Drogi królewskiej", dowodzi na froncie zachodnim brygadą „Alsace-Lorraine". Brygada pułkownika Malraux brała wybitny udział w oswobodzeniu Alzacji w bojach pod Guersheim i Wattweiler, a w pierwszych dniach lutego obroniła Strassburg przed silnym kontratakiem trzech dywizyj niemieckich.

Guillaume Apollinaire nieznany. W Paryżu pojawił się nowy, niewydany dotąd zbiorek poezji Guillaume Apollinaire'a, poświęcony Sekwanie.

W paryskim Instytucie Muzycznym odbył się odczyt François Brisson pt. „Trwoga". Prelegent poddał szczegółowej analizie utwory muzyków i poetów, opisujących uczucie strachu. Odczyt ilustrowany był wyjątkami z dzieł, Shakespeare'a (Makbeth), Goethe'go (Król olch), Wiktora Hugo, Baudelaire'a, Edgara Poe'go, Jean Richepin'a (Les deux manetriers), oraz muzyką Schumana (Król olch) i Saint Saensa (Danse macabre).

Martin Andersen Nexö pracuje nad dalszym ciągiem powieści „Pelle Zdobywca". Nowa powieść ma być trylogią, podobnie jak poprzednie powieści tego autora.

„Iwan Groźny". Jednym z ostatnich utworów Aleksego Tołstoja, zmarłego niedawno pisarza rosyjskiego, jest dramatyczna opowieść w dwu częściach pt. „Iwan Groźny".

Stefan Zweig, znany niemiecki pisarz, zmarł na emigracji, przeżywszy 60 lat. Do ostatnich dzieł pisarza należy autobiografia „Wczorajszy Świat" („Die Welt von Gestern"). W spuściźnie zostawił Zweig niedokończoną biografię Balzaka.

„Córka." Pod tym tytułem ukazała się powieść Bruno Franka. Akcja tej powieści rozgrywa się w Polsce.

„Koniec świata." Upton Sinclair napisał wielką powieść pt. „Koniec świata".

Tomasz Mann pisze powieść biblijną „Izrael przed faraonem".

„Siekiera Wandsbeka." Jest to tytuł jednej z ostatnich powieści Arnolda Zweiga, będącej historią czterech hamburskich komunistów, skazanych na śmierć.

„Norweska wiosna." Powieść pod tym tytułem, opowiadającą o okupacji Norwegii przez Niemców, napisał Stuard Engstrand. Dużo miejsca poświęcił autor postaci młodego Norwega, wychowanego w Niemczech na szpiega i agenta hitlerowskiego. Zabija go własna matka.

„Zakładnicy" — to powieść Stefana Heina o walce narodu czeskiego z niemieckimi okupantami. Bohaterem książki jest działacz podziemny, sprzątacz kawiarniany Janoszek, „jeden z najśmielszych na świecie ludzi".

W poprzednim (17) numerze „Odrodzenia" z dnia 25 marca: **Julian Przyboś:** Miejsce na ziemi (Ziemią gwiezdnie pojętą, Ciężar poematu, Po orce, Powrót czyli Malejące góry). — **Jan Kott:** Sprawa książki. — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia (5). — **Jan Wiktor:** Z pamiętnika. — **Ewa Szelburg-Zarembina:** Dom pod gwiazdami. — **Zbigniew Bieńkowski:** Pożegnanie Lublina. — **Maria Kuryluk:** Andrzej. — **Kazimierz Brandys:** Miasto niepochowane. — **Regina Fleszarowa:** Wędrówki w poszukiwaniu książki. — **Jerzy Andrzejewski:** Uwagi i notatki. — **Jerzy Zawieyski:** Wyznanie autora. Przed premierą „Męża doskonałego". — **Wojciech Natanson:** Rozmowa z Francuzem. — Sprawy polskie. — Odezwa Związku Zawodowego Literatów Polskich. Archiwum Literatury Podziemnej. — Kronika. — 8 ilustracyj (m. in. 2 rysunki **Eryka Lipińskiego**).

Przegląd prasy

„Literatura i Sztuka", niedzielny dodatek w krakowskim „Dzieniku Polskim", wkroczy niebawem w trzeci miesiąc istnienia. Dwie lub jedna kolumna, dobrze skomponowane, o właściwych proporcjach i celnych nieraz tekstach, okazja spotkań nazwisk znanych i nieznanych, pisarzy starszych i młodych, krakowskich i niekrakowskich. Wytrawny felieton obok pierwszej próby poezji, fragment pamiętnika z niedawnych dni o szpaltę od wspomnień młodopolskich, sprawozdanie z występu teatru frontowego, essay, opowiadanie, kronika.

Stanisław Witold Balicki w artykule „Powrót" i „Odrodzenie" odwołuje się do tradycji kulturalnych Polski „demokratycznej, sprawiedliwej, mądrej i twórczej":

Rzut oka na naszą historię stwierdza, że choć umieliśmy walczyć orężem, nie zawsze popartym polską racją stanu, to jednak zawsze zwyciężaliśmy tylko kulturą. Ona była najsilniejszą spójnią narodową, ona wytyczała wielkość Polski.

Lecz dziś, w okresie najgłębszych przemian struktury i psychologii społecznej, kulturę narodu, który chce zachować prawo istnienia, czekają nowe zadania. Autor zdaje się pojmować to pisząc:

Kultura naszego narodu musi być związana z rzeczywistością, musi być udziałem i wyrazem odpowiedzialnego tworzenia wszystkich warstw społecznych. Do spełnienia tych najważniejszych postulatów koniecznym jest oświecenie, wykształcenie zbiorowości.

W dalszym ciągu wywodów, którym trudno odmówić słuszności, tem sam autor pisze:

Dziś, gdy wracamy do polskich idei przez nas zapomnianych, a zrealizowanych przez inne narody, musimy wykorzystać doświadczenia wieków...

W polskiej przeszłości kulturalnej i ideologicznej były okresy i tendencje, do których nie należy wracać. Wprawdzie autor odrzuca międzywojenne dwudziestolecie, ale to nie wystarcza. Byłoby pożyteczne ustalić dokładną treść tych idei, które można i trzeba kontynuować i tych, od których trzeba się odżegnać.

Poniżej cytowanych słów, odzywa się w wierszu głos pokolenia, któremu młodość przyniosła huk ulicznych salw. **Tadeusz Jęczalik**, młody poeta krakowski, poświęca epitaphium pamięci zmarłego przyjaciela:

Leżeli obok siebie równo i sztywno —
jak dziesięcioro przykazań miłości.
Nad nimi głuche echo salwy.

W tymże numerze **Kazimierz Czachowski** wspomina echo innych salw w przemówieniu p. t. „Powstanie styczniowe w literaturze":

Powstania nasze w ostatecznym obrachunku kończyły się klęską. Kończyły się klęską, bo wydobywając z ofiarnych szeregów bojowników o wolność najwyższe napięcie romantycznego uczucia, w swej dziejowej i społecznej rzeczywistości były zawieszone w próżni. Brak im było tej najważniejszej dźwigni, jaką jest zawsze i wszędzie rzeczywistość rewolucyjna, ta rzeczywistość, którą wprzągnęły w swe koło dziejowe wielka rewolucja francuska i wielka rewolucja rosyjska.

Dziś, po ledwie rozwianych dymach nad stolicą, po sierpniu i wrześniu warszawskim — wymowa tych słów starczy za komentarze.

W numerze z 11-go lutego **Stanisław Dygat** zamieszcza interesujący, o oryginalnym typie skojarzeń, fragment większej całości p. t. „Taniec łabędzi", dalej **Jan Wiktor** we wrażliwych urywkach „Z dziennika" dzieli się swą troską o los pisarza i czytelnika, którzy w ciągu lat niewoli musieli być świadkami „najkrwawszych zbrodni, zniszczenia, pożogi, grabieży, rozpętania najdzikszych popędów i instynktów bestii".

Jak przemówić do dzisiejszego czytelnika, skamieniałego w obojętności dla cierpienia widzianego codziennie, aby go wzruszyć, aby nim wstrząsnąć? Pisarz dokądś dąży, czegoś dotyka, na coś patrzy, a dzisiaj kroki jego martwe, palce bez czucia, oczy oślepione, a może wypalone, a może wydarte. Wyciąga ramiona, usiłuje rozgarnąć zgęstniałe ciemności przepełnione skowytem.

Obok **Czesław Miłosz** rozpoczyna swe „Przejażdżki literackie" felietonem o podskakiewiczach demokracji, pełnym ostrej ironii w negatywnej ocenie zjawisk, a gdzie indziej **Jerzy Andrzejewski** poświęca artykuł rozważaniom na temat dwóch pokoleń — ludzi dobiegających czterdziestki i tych, których wojna zastała w drugim dziesiątku lat:

Niosąc w sobie wiele tragizmu, pospolitowaliśmy go ponad miarę dobrych obyczajów i nie będę skłócony z prawdą, jeśli powiem, iż rozgłaszając nasz los pomniejszaliśmy go o naszą histerię.

I dalej:

Młodzi, którzy dobiegają teraz lat dwudziestu lub przekroczyli je dopiero co, więcej z pewnością niż moje pokolenie, mają przyczyny, aby mówić o swoim tragiźmie. Nie przeżyliśmy u progu życia ani połowy tego, co musieli przeżyć oni. Być może dojrzeli też głębiej i pełniej, niż my — dzieci pierwszej światowej wojny, pokolenie czasu międzywojennego. Jeśli tak, mit tragicznego pokolenia nie powtórzy swych narodzin i ani krew, ani zgliszcza i ruiny nie wspomogą ekshibicjonizmu.

Pomijając zamiar powyższych rozważań, który wyjaśnia się po wielu sprzecznościach, pewne sformułowania wydają się wątpliwe. Pojęcie „tragizmu pokolenia" trąci dekadencją i koturnowością oraz histerią, co zresztą przyznaje sam autor, który w innym miejscu pyta:

Na cóż bowiem zdałoby się wywoływać minione trudności? Jeśli miałyby służyć do usprawiedliwiania naszych błędów i braków, nie zmieni to wyroku historii, ponieważ los jest słabym obrońcą i jakikolwiek bywa, okrutny czy łaskawy, czyny ludzkie pozostają obiektywnymi czynami, a słowa zachowują swój wypowiedziany sens.

A więc — raczej błąd i brak niż tragizm. Nieco mrocznie prowadzony wątek autor wyjaśnia sensowną konkluzją:

Nie wybiera się swego miejsca w historii. Jednym przypadają pozycje łatwe, drugim trudne. Ale od godności człowieka zależy, aby wytrwać na pozycjach nawet najcięższych i zamiast oskarżać los — kształtować go.

Mniej posępne struny porusza w swych skrótach aforystycznych **Artur M. Swinarski**, twierdząc m. in., że:

Kto wypożycza książki, nie wart by mu je oddano,

co nasuwa niespokojne myśli o losie wypożyczalni książek.

Wiersze. **Leon Kruczkowski** pisze z oflagu do syna:

Marzę. Za oknem wczesna noc bezgwiezdna
cóż przyjdzie po niej?
skrzywdzoną młodość twoją — której nie znam
pozdrawiam uściskiem dłoni.

a **Zbigniew Bieńkowski** w równych, prostych strofach opowiada o Ojczyźnie:

Ojczyzna moja jest głosem z oddali,
słuchana wiernie i słyszana cała.
Cały świat po to się tylko zapalił,
by ona serce gorejące miała.

Cóż więcej? Wiele rzeczy rozsądnych, zabawnych i trafnych. Felieton **Tadeusza Brezy**, rozważania teatralne **Jerzego Zawieyskiego**, fragment **Mariana Ruth-Buczkowskiego** i znów „Przejażdżki" **Miłosza**, fraszka, rozbiór krytyczny, wspomnienie o „Przepióreczce", plastyka, muzyka, teatr.

Sumując całość — wrażenia nieco rozbieżne. Po pięciu latach milczenia pisarze na łamach dodatku odezwali się głosem zgodnym. Słowa „kultura", „sprawiedliwość", „tradycja demokratyczna" — spotyka się niemal w każdej publikacji. Po przejrzeniu kompletu „Literatury i Sztuki" odnosi się wrażenie walnego zebrania, gdzie zgodnie uchwalono wnioski ogólne, co nie oznacza jednak, że szczegółowa realizacja nie nastręczyłaby różnic w poglądach. Wiele słów rozsądnych, lecz nieco zbyt obszernych. Należy unikać pojęć, mieszczących w sobie więcej, niż jedną treść. Sądzimy, że po pierwszym okresie braku sprecyzowań ideologicznych, usprawiedliwionym zresztą pięcioleciem milczenia i chęcią jak najszybszego zabrania głosu, przyjdą obecnie publikacje konkretne, obarczone większą odpowiedzialnością i świadome trudu, którego trzeba dokonać, aby literatura i sztuka stały się istotnie jednym z fundamentów Polski „demokratycznej, twórczej, mądrej i sprawiedliwej". **(kb)**

»Miesięcznik Literacki«

W listopadzie 1942 wyszedł pierwszy numer „Miesięcznika Literackiego", dwudziestokilkustronicowy zeszyt o nakładzie 30 egzemplarzy. I potem już co miesiąc, prawie przez cały rok wypuszczaliśmy w świat krakowski to podziemne czasopismo coraz to obszerniejsze, obejmujące coraz liczniejszych autorów. Pismo ginęło po ludziach, tonęło w bezimiennej fali czytelników, bez możności sprawdzenia opinii, bez krytyki odbiorcy. Kolportowane z rąk do rąk przechodziło zapewne różne koleje — ukrywane przed okiem zaborcy, czytane na tajnych kompletach, niszczone przed spodziewanymi rewizjami. Ile egzemplarzy z tego rocznika istnieje do dziś dnia — nie dowiemy się — przechowały się tylko w Bibliotece Jagiellońskiej, skrzętnie składane, gdzieś wśród labiryntu korytarzy i półek, przez dr. Bara i Urbańczyka. Ocalało też kilka kompletów u współpracowników.

Dziś, kiedy numery, ocalałe dziwnym trafem, leżą przede mną — muszę, mimo woli, powrócić do tych chwil konspiracji, gorączkowej pracy przy powielaczu i żmudnego szukania zaufanej a dobrej i pełnej poświęcenia maszynistki. Kartkując strony przypominają się mieszkania, zamienione w tajne drukarenki, autorzy, okrężnymi drogami nadsyłający zamówione artykuły i protekcje w papierniczych sklepach, skąd wynosiliśmy papier i woskowane matryce.

Miesięcznik oprócz swojego indywidualnego życia wśród ludzi nieznanych nam i dalekich, skupiał koło siebie mały świat trudów, niepowodzeń i troski całej grupy, wplątanej w jego życie, nim jeszcze ujrzał światło dzienne. A kiedy gotowy szedł swoimi szlakami, z uczuciem ulgi próżnowaliśmy tydzień, i dopiero na nowo pochłaniał nas zbliżający się termin następnego numeru. Przesadą byłoby twierdzić, że narażaliśmy się sami, a pośrednio i innych. Utwory były bezimienne, nieopatrzone nawet kryptonimami. Narażaliśmy się tyle, ile narażeniem życia było trwanie w warunkach niemieckiej okupacji 1939—1945. Nie była to wielka rzecz wydawać to pismo, ale może godna uwagi, bo zdaje się jedyna w tym rodzaju na terenie Krakowa.

Zasadniczo „Miesięcznik" dzielił się na trzy części — artykuły literackie, prozę i poezję. Podział stary i banalny, ale trzymaliśmy się go do końca. Dawał on możność wypowiedzenia się kilku autorom, a czytelnikowi przynosił nowości z każdej dziedziny literatury. Dopiero później mieliśmy zamiar poświęcać miesięcznik osobnym zagadnieniom. Takim pierwszym miał być numer dotyczący wyłącznie zagadnień teatralnych, inny prozy krakowskiej, krytyki literackiej i poezji.

W „Miesięczniku Literackim" drukowali artykuły: Kazimierz Wyka — duże studium o twórczości Józefa Czechowicza, krytykę wierszy młodego poety warszawskiego Krzysztofa Baczyńskiego p. t.: „List do Jana Bugaja" oraz artykuł o literaturze emigracyjnej. Tadeusz Kudliński o teatrze religijnym i uspołecznieniu kultury. Stefan Szuman o St. Ign. Witkiewiczu. Wiesław Gorecki o wierszach Józefa Gałuszki. Stanisław Spytkowski o Stefanie Kołaczkowskim. Prozę reprezentowali Karol Koniński wyjątkiem z dzieła p. t.: „Ex labiryntho", Wojciech Żukrowski opowiadaniami „Łaska" i „Pozdrowienie anielskie", Juliusz Kydryński wspomnieniami z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, Natalia Rolleczek nowelą „Czapka" i Tadeusz Kwiatkowski opowiadaniem p. t. „Choinka".

Wiersze m. in. publikowali Krzysztof Baczyński, Jerzy Lau, J. B. Ożóg, Adolf Sowiński, Jan Twardowski i W. Żukrowski.

Numer teatralny zawierał prace T. Kudlińskiego (Teatr społeczny), Wł. Dobrowolskiego (Teatr dwudziestolecia), M. Kotlarczyka (Teatr żywego słowa), W. Goreckiego (Teatr objazdowy), T. Kantora (Inscenizacja Balladyny), Z. Pyzika (Teatr ludowy), Fr. Walczowskiego (Plastyka teatralna) i T. Kwiatkowskiego (Nowa recenzja teatralna).

„Miesięcznik Literacki" skupiał pisarzy krakowskich, którym trudno było się dostać do wytwornych antologii warszawskich — bądź przez oddalenie, bądź przez zręczną konspirację stolicy. Wyłonił kilku nowych autorów, zdobywających sobie ostrogi pisarskie na szorstkim papierze cyklostylowym.

Na pozamazywanych i gdzie niegdzie źle odbitych kartkach „Miesięcznika" widać dzisiaj wiele błędów i niedociągnięć, niezauważonych w zapale twórczym, który niejednokrotnie przysłaniał nam oczy. Ale jakim by on nie był, pozostanie dla Krakowa bliskim i pamiątkowym i będzie równocześnie świadczył, jako jeszcze jeden dowód, że w okresie najczarniejszego z zaborów, życie kulturalne Polski ani na chwilę nie ustało.

Tadeusz Kwiatkowski

Warszawiacy w Krakowie

rys. Eryk Lipiński

Herrenvolk

rys. Eryk Lipiński

Mieszaniny

Odbywałem ostatnio dalekie podróże. Byłem w Łodzi i Warszawie, nawet mało co nie pojechałem do Lublina. Niech się nikt ze mnie nie śmieje, że były to dla mnie dalekie podróże. Miasto „Litzmannstadt" leżało w Rzeszy Niemieckiej, dzieliła nas od niego okupacja i słupy graniczne z napisem: „Nur für Deutsche". Warszawa od niedawna leży w kraju wspomnień i dotrzeć do niej jest równie trudno, jak trudno jest dotrzeć do zdarzeń dzieciństwa. Długie to, długie kilometry, które trzeba było dodatkowo przebyć, kiedy podróżowałem do Łodzi i Warszawy.

Unosiłem się nad ziemią w samolocie (okupację, granicę, napis „Nur für Deutsche" — odległość tę równającą się kiedyś wieczności — sprowadził samolot do naturalnych wymiarów przestrzeni wynoszącej około 300 km i do naturalnego wymiaru czasu wynoszącego półtora godziny). Unosiłem się również nad ziemią w pociągu, zawieszony wśród przekupek, paczek, płaczących dzieci i klnących mężczyzn, wciśnięty i wtłoczony w tę mozaikę z ludzi i towarów. Mało co nie uniosłem się nad ziemią (i nie powróciłbym już na nią) w samochodzie na śnieżnej i śliskiej szosie między Łodzią i Warszawą. A wszystko to dlatego, że w Krakowie, który przyjął mnie, wygnańca ze zburzonego i spalonego przez barbarzyńcę miasta, zaczęło mi się robić duszno i nieswojo. Kraków jest miastem, które nie posiada ani jednej głównej ulicy. Ulice, domy, ludzie kręcą się w Krakowie dokoła Rynku — raz dokoła, raz dokoła — ruch tutaj nie jest centralny, ale centryfugiczny i może dlatego ludzie są też trochę egocentryfugiczni, niby w wielkiej centryfudze kręcący swoje życie i swoje sprawy, nie dając im ujścia w wielki świat przez szerokie, przestrzenne ulice centralne. Postanowiłem więc obejrzeć Łódź, w której dotąd nigdy nie byłem, w nadziei, że zaspokoi ona moje wielkomiejskie tęsknoty. Ale wystarczyło mi parę dni, żebym doznał rozczarowania. Łódź ma **tylko** główne ulice. Zaczynają się gdzieś hen i gdzieś hen się kończą. Wzajem wobec siebie, nawet wobec centralnej Piotrkowskiej, którą przecinają, wydają się obojętne, niespokrewnione, nie złączone żadnym wspólnym celem. Życie i myśl rozpraszają się w Łodzi, umykają dalekimi wylotami ulic. Zdałoby się te ulice wsadzić do jakiejś centryfugi, żeby tak „raz dokoła" powirowały.

Warszawa! Marszałkowska! Nowy Świat! Aleje Ujazdowskie! Jerozolimskie! Krakowskie Przedmieście! Wielkie, centralne ulice i jak ze sobą blisko spokrewnione. Aleje Ujazdowskie, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście to rodzeństwo wysłane w świat przez pradziadka Stare Miasto, pobłogosławione na drogę mieczem i krzyżem Zygmunta. Z Marszałkowską spokrewnione są przez plac Unii Lubelskiej z jednej strony, a ogród Saski i plac Saski z drugiej, złączone nierozerwalnie Alejami Jerozolimskimi.

Jechałem do Warszawy ze strachem i nadzieją naprzemian. Wyjeżdżałem z niej z otuchą. Zrujnowana jest straszliwie. To prawda. Ale Warszawa żyje. Jest jak kwiat, który zasnął: zamknął kielich i opadł na pochylonej łodydze. Ale kiedy przyjdzie ogrodnik, podleje go i opatrzy, wróci do życia. Tacy ogrodnicy pracują już w Warszawie, nad najpiękniejszym dla Warszawiaków kwiatem. Będziemy świadkami jak Warszawa powoli będzie rozwijać swoje płatki i prostować się na łodydze. Ratują ją nie tylko ci, pełni poświęcenia, architekci i inżynierowie, którzy rezygnując z wygód codziennego życia zamknęli się niby mnisi wśród ruin miasta, aby pracować nad jego odbudową. Ratuje ją wierna ulica. Ulica warszawska nie przyjęła do wiadomości faktu zburzenia miasta. Jest żywa i wesoła jak za najlepszych czasów. Dzięki niej żyje wśród ruin nastrój i atmosfera, które lud warszawski przechowa do czasu, gdy powstanie nowe miasto. I dlatego to nowe miasto nie będzie żadnym, jak mówią niektórzy, innym miastem na tym samym miejscu, ale naszą starą Warszawą, której nic nie zniszczy.

Barbarzyńca niemiecki oświadczył, że Warszawa zniknie jako miasto z dziejów i karty geograficznej. Użył wszelkich środków technicznych i całej perfidii, aby zamiar ten wykonać.

Ale ostateczną wolą będzie nie jego wola, a wola ludu warszawskiego.

Stanisław Dygat

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 172-12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 185-60-62. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".